Nr. 35 (26) Lwów, dnia 10. Grudnia 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek. półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1-go. 10-go i 20-go.

Od Wydawnictwa.

Gdy przed trzema miesiącami połączyliśmy nasze wydawnictwo z dwutygodnikiem ***„Ruch“*** ogłosiliśmy na tem miejscu, że staraniem naszem będzie pismo przez nas wydawane rozszerzyć i udoskonalić. Miło nam, że reformy projektowane, mogą już teraz stać się faktem spełnionym. Począwszy od dnia 1-go Stycznia 1889 r. wydawać będziemy pismo nasze nie jak dotąd 3 razy na miesiąc lecz ***co tydzień*** i stosownie do tej zmiany będzie ono nosiło nazwę:

„Tydzień powieściowy i literacki“

Mimo że wydawnictwo tak rozszerzone kosztować będzie prawie dwa razy tyle co teraźniejsze, podwyższamy prenumeratę tylko o ***2*** złr. rocznie. Prócz tego drukować będziemy powieści czcionkami mniejszemi, na czem czytelnicy tylko skorzystają. Jak dotąd tak i nadal w ***Tygodniu*** będzie się pojawiała stale jedna powieść oryginalna, druga zaś tłumaczona, prócz tego będziemy umieszczali krótkie a piękne nowelki jakoteż artykuły literackie i artystyczne. Nowe wydawnictwo czyniąc zadość powszechnie objawianemu życzeniu dołoży starań, by pojawiały się w niem przeważnie powieści tomowe, skutkiem czego każdego roku wyjdzie ich nie kilka, jak dotąd, ***lecz kilkanaście.*** Na początku drukować będziemy utwór niezmiernie zajmujący p. t.

„W piekle galicyjskiem“

którego autor, jeden z najpierwszych w Polsce, pragnie tym razem zachować ściśle incognito, prócz tego pojawi się w *Tygodniu* powieść niezmiernie zajmująca pt:

„Wyżeł policyjny“

w której są odmalowane stosunki policji francuzkiej.

***Każdy kto przyszle prenumeratę całoroczną z góry w kwocie* 8 *złr. otrzyma* bezpłatnie, *jako premię, sławną powieść Eugeniusza Sué w 9 tomach p. t.* „Tajemnice Paryża“.**

Prenumerata na ***„Tydzień powieściowy i literacki“*** wynosi tak we Lwowie jak na prowincji:

Rocznie	**8** złr.
Półrocznie	**4** „
Kwartalnie	**2** „

Prenumeratę prosimy przysyłać pod adresem:

Księgarnia pp. Seyfartha i Czajkowskiego we Lwowie.

Adres Redakcji: **Lwów ul. Akademicka l. 3.**

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Dokończenie.)

XXIII.

Antosia w domu sama zostawszy, usiadła między łóżeczkiem Janci a Stasia i pełna obawy śledziła każde ich poruszenie. Nie spały. Twarzyczki miały czerwone, wszelako nie czerwonością naturalną, jeno tą gorączkową, która tak dobrze policzki, jak czoło oblewa; oddech był przyspieszony a krótki, co chwila prosiły o wodę i usnąć nie mogły.

Im dalej posuwała się wskazówka na zegarze, tem bardziej wzmagała się gorączka. Potem dostały wymiotów. Antosia wolniej odetchnęła, przypuszczając, że dzieci zjadły coś niestrawnego, najprawdopodobniej jakiś owoc nie dość dojrzały. Po wymiotach spodziewała się więc polepszenia, tymczasem stało się przeciwnie. Wkrótce gorączka tak się u nich wzmogła, że zaczęły rzucać się i majaczyć.

Zrozumiawszy dopiero teraz, że ich stan jest w rzeczy samej groźny, kazała piastunce czuwać przy chorych, sama zaś pobiegła do urzędnika, by niezwłocznie pojechał po lekarza. Gdy wróciła zdawało jej się, że gorączka trocha się zmniejszyła, za to z piersi dzieci dobywało się bolesne stękanie. W najwyższej trwodze padła na kolana i zaczęła się modlić. Potem po pokoju biegając, łamała ręce, a chociaż jej oko było suche, wyraz twarzy wskazywał, jak dusza jej okropnie cierpiała. Zatrzymywała się kolejno to przed jednem to przed drugiem łóżeczkiem, przykładała rękę do główek rozpalonych, słuchała oddechu, brała za puls, jakby spodziewała się chorobę poznać i sama chciała na nią poradzić.

Wkrótce po dziesiątej, dał się słyszeć turkot na dziedzińcu. W pierwszej chwili sądziła, że lekarz już przyjechał, chciała przeto wybiedz do niego, lecz zattzymała się pomyślawszy, że nie może to być on, skoro nie ma jeszcze godziny jak po niego posłała.

Gdy tak stoi na drzwi spoglądając, nagle ktoś je otworzył i przed sobą ujrzała szwagra. Oniemiała nie tyle ze zdziwienia, co z przestrachu. Mimo boleści, zalewającej jej serce, w jednem oka mgnieniu stanęło wszystko przed nią, w kształtach żywych a strasznych. Tam bal, na nim matka tych dzieci chorych, przed niemi ich ojciec... O! ileżby dała za to, żeby teraz mógł być z tąd o kilkaset mil, w głębi Ukrainy i nie widział co tu się dzieje.

— Nie spodziewałaś się mnie Antosiu, prawda? — rzekł z uśmiechem do niej podchodząc. — Umyślnie nic nie pisałem, bom wam chciał zrobić niespodziankę. Ale co to jest Antosiu, że tak dziwnie wyglądasz?... Twoja ręka taka zimna...

— Wody! — jęknął Staś.

Ojciec po głosie poznał, że chłopczyk jego jest chory. Rzucił się do łóżeczka.

— Antosiu! przez miłosierdzie boskie, mów co się stało?! Staś widzę chory... ale i Jancia rzuca się niespokojnie... Dziewczyno, mów co to jest!

— Nie bój się Henryku, nie bój.. Dzieci musiały zjeść coś niezdrowego, bo równocześnie dostały wymiotów i gorączki. Ale to do rana minie, posłałam już po lekarza. Idź, połóż się Henryku, zobaczysz, że jutro będą zdrowe.

— Jam nie zmęczony... poczekam więc na lekarza... Ale gdzie jest matka tych dzieci? — dodał w koło się rozglądając, jakby jej szukał.—Przecie jeźli kto, to ona pierwsza tu być powinna. Niech choć raz zapomni o sobie i swoich wygodach.

To powiedziawszy wziął lampę, która paliła się pod piecem i z nią chciał udać się do pokoju żony. Antosia jednak drogę mu zastąpiła

— Henryku! idź spać! Tyś zmęczony! Idź Henryku! — błagała czepiając się rąk jego.

— Co to wszystko znaczy? Puść mnie Antosiu! Wszak idę po Eleonorę, po matkę tych dzieci!

Widząc że ją gwałtem odsuwa, jękněła:

— Nie idź tam Henryku, bo jej nie ma.

— Jakto? Tu jej nie ma, czy też w całym domu?

— Nie ma jej, bo z mamą pojechała na wieczorek do Ujścia... Ona sama nie chciała, ale wina w tem nasza, moja i pana Bielskiego, bośmy ją do tego gwałtem namówili. Nie bój się Henryku. A towarzystwo zebrało się tam bardzo dystyngowane, zresztą Elunia jest pod potrójną opieką: wuja, mamy i baronowej... Biedaczka potrzebowała się rozerwać... wszak od tylu lat jak zakonnica ciągle w domu siedzi... Nie gniewaj się na nią, Henryku! nie... wszak mówiłam ci już, że nie ona winna, tylko my, bośmy ją do tego nakłonili.

Mówiła prędko, na każde słowo szczególny nacisk kładąc jakby chciała koniecznia żeby jej uwierzył. On słuchał i drżał jak liść osiczyny.

— Zostań tu z dziećmi, ja zaraz wrócę! rzekł głucho.

— Henryku! gdzie chcesz iść, ja cię nie puszczę!

— Powtarzam ci, że zaraz wrócę! Jeżeli lekarz prędzej przyjedzie, niech na mnie poczeka.

To powiedziawszy z pokoju szybko wybiegł. Za chwilę minął ogródek kwiatowy, a otworzywszy furtę w murze, dostał się nad jezioro. Przy bladem świetle księżyca, który na przestwór niebios właśnie wypłynął, ujrzał w swojej przystani obie łodzie. Wskoczył do mniejszej i silnem wiosła uderzeniem od brzegu odbił.

Na przeciwko widać było pałac rzęsiście oświetlony, a przed nim, jakby na wodzie, płonęły ognie sztuczne. I oto wylatywały ogoniste rakiety, które z hukiem pękały, po nich spadały z nieba snopy gwiazd różnobarwnych, kręciły się młynki, blaskiem brylantowym jaśniały cyfry, których z daleka nie mógł rozróżnić, nakoniec wzdłuż całego pałacu zaczęły płonąć pochodnie bengalskie.

Im bliżej był środka jeziora, tem wyraźniej słyszał gwar i oklaski, które wiatr na swoich skrzydłach aż do niego przynosił. Tam więc bawiono się swobodnie, wesoło, tam była także jego żona ze swoją matką. a on w łodzi stojąc, w czarodziejski pałac zapatrzony, z jękami chorych dzieci co mu w uszach brzmiały, a z piekłem w sercu, płynął jak potępieniec, aby im zatruć chwile rozkoszne!...

Gdy tak płynie a przed siebie nie patrzy, nagle łódź dziobem o coś twardego uderza i on przez głowę do wody wpada. Leciał długo jakby na same dno topieli, za sobą słyszał szum, w oczach ujrzał blask żółtawy, od którego ponuro odbił się pokój, w nim łóżeczka chorych dzieci, przy nich Antosia, pod oknem piastunka... Poruszył się, silnem ramieniem wodę rozgarnął i w jednem mgnieniu oka dostał się na powierzchnię. Wszakże w tej samej chwili znowu poszedł na dół, gdyż głową o coś twardego uderzył. Na szczęście swoje nie stracił przytomności. Chociaż było mu już duszno. domyślił się, że głową musiał o dno czółna uderzyć, przeto tym razem rzucił się trocha w ukos. Nie długo już trwało, a głowę ujrzał nad wodą. Odetchnął, widząc czółno, które szczęśliwie zatrzymało się między skałami; przypłynął do niego. Niedługo potem wylądował pod pałacem.

Służba chciała go zatrzymać, nawet sam Scholtz drogę mu zagrodził, wszakże poznawszy w nim prędko pana Milińskiego, pierwszy mu się ustąpił. Za jego przykładem poszli lokaje i dopiero we drzwiach sali balowej, chciano mu drugi raz wstępu bronić. Wszystkich odtrącał i w sukniach, z których woda ciągle ściekała, znacząc ciemny ślad na parkietach, przeszedł spokojnie przez tłum strojnych gości, którzy cofali się przed nim, jak przed szalonym. Zbliżył się nareszcie do żony, chwycił ją za rękę i zawołał:

— Możeby już dość było tej zabawy, piękna pani!... Chore dzieci przysłały mnie po ciebie!

Skamieniała. On nie zwracając na to uwagi, jakie wrażenie te słowa na niej wywarły, przemocą pociągnął ją za sobą, na twarzy zaś jego taki ból się malował, że nikt nie miał odwagi zbliżyć się doń, by wyjaśnień żądać. Pierwsi hrabiowie w bok się usunęli, nie wiedząc co począć.

Gdy odchodził, hrabina chwyciła się oburącz za serce i z głośnem: ach! ach! ach! padła w ramiona rotmistrza od huzarów. Na jej szczęście nadbiegł pan Bielski.

— Masz babo redutę! — zawołał. — Mówiłem, prosiłem, perswadowałem, nic nie pomogło, teraz macie! A jechałże was sęk za tę miksturę, którą z waszej łaski będę musiał teraz wypić.

Podczas gdy on mówił, hrabina oprzytomniała i o spazmach zapomniawszy, szybko zawołała:

— A kto winien, jeżeli nie pan?! My słabe, uciśnione

kobiety, możemy czasem błądzić, ale wy macie rozum, wolę, władzę!

— Skoro tak mówisz moja mościa dobrodziejko, to zbieraj się zaraz, bo ja tu ani chwili dłużej nie zostanę! Dosyć już tego, dosyć!

Podczas gdy on sierdził się i gniewał, a hrabina namyślała się jeszcze co ma czynić, pan Miliński ciągnąc żonę za rękę, która szła automatycznie i dotąd jednego dźwięku z siebie nie wydała, sprowadził ją do jeziora. Dopiero szum wody, którą teraz wiatr poruszał, pozwolił jej zdać sobie sprawę z położenia, w jakiem się znajdowała.

— Henryku! Co robisz? — jęknęła

— Popłyniemy do domu, do dzieci, piękna pani!...

— Wszak noc Henryku... jezioro niespokojne...

— Skoro sam nie utonąłem, więc nie utonę i teraz gdy będę wiózł mój skarb najdroższy!

W jego głosie tyle było zimnego szyderstwa, że ona tem zmrożona, nie usiłowała sprzeciwiać się więcej i do łodzi zeszła. Ujął za wiosło, uderzył o wodę i w kilka minut na pełne jezioro wypłynął.

Mimo fali niespokojnej, łódź pomykała szybko, równo i w pół godziny, szczęśliwie skały ominąwszy, stanęła pod dworem w Trzcińcu. Nic do siebie nie mówiąc wyszli na brzeg. Za chwilę mąż wprowadził żonę do pokoju dzieci i na łóżeczka ręką pokazując, krzyknął:

— Tam twoje miejsce!

Przestraszona upadła na kolana i twarz sobie dłońmi zasłoniła. Dotąd była w sukni balowej, bez żadnej okrywki, z obnażonemi ramionami, a tylko z palącym wstydem na twarzy, którą stary hrabia swoim pocałunkiem zbezcześcił.

Lekarz dotąd nie przyjechał. Spodziewano się go jednak każdej minuty. Pan Miliński poszedł przebrać się do swego pokoju, a za chwilę znowu zaglądnął do pokoju dzieci. Żona na dawnem miejscu klęczała, Antosia łzami zalana chodziła od łóżeczka do łóżeczka i wodę dzieciom podawała.

Gdy wyszedł na korytarz, zobaczył Wojciecha Żołędziaka.

— A wy tu co robicie? — zdziwiony zapytał.

— Ta jegomość przysłali po wielmożnego pana.

— Jakże się ma ksiądz proboszcz?

— Bardzo źle... już od wczora konają. Mnie się zdaje, że jegomość jeno na wielmożnego pana czekali. Przed chwilą powiedział: »Wojciechu! idźcie do dworu, po dziedzica, bo mnie się widzi, co już wrócił«.

— Idę mój gospodarzu, idę z wami.

XXIV.

Na probostwie w sypialnym pokoju ks. Błażeja, leżał on sam na łóżku, przy nim zaś siedzieli: kościelny, sołtys, i jeczcze dwaj gospodarze. Lampa zieloną umbrą przysłonięta, rzucała światło blade i smutne, w którem wynędzniała twarz chorego, miała już cerę i wyraz grobowy.

Od owej chwili, kiedy to upadł i dostał krwi wybuchu, nie dźwignął się więcej. Odtąd życie coraz szybciej z niego uciekało. Ale chociaż wiedział, że wkrótce zgaśnie, nie żałował życia i z całą przytomnością młodego jeszcze umysłu, śmierci wyglądał. Drzwi do jego pokoju prawie się nie zamykały. Na to nie poradzili księża okoliczni, którzy go odwidzali, nie poradził sam nawet lekarz, mimo iż choremu gorąco spokój polecał. Ks. Błażej chciał widzieć się z każdym, aby mu dłoń uścisnąć i pożegnać się na zawsze. Pokój jego sypialny, był codzień do późnej nocy pełen westchnień i płaczu. Nawet o ptaszkach nie zapomniał. Jeżli tylko dzień był pogodny, kazał się z łóżkiem do okna przysuwać, kościelny sypał ziarno na deszczułkę, a ksiądz spoglądał na wesołą drużynę i żegnał ją uśmiechem.

Po odjeździe pana Milińskiego na Ukrainę, przez kilka dni był bardzo niespokojny. Niejednego zapytywał, czy nie wie, kiedy dziedzic wróci i często wynurzał obawę, że może go więcej nie zobaczy. Kazał do siebie sprowadzić Żołędziaka, sołtysa i jeszcze dwóch gospodarzy, którzy we wsi rej wiedli i tak do nich przemówił:

— Mam do was prożbę, moi bracia, wielką gorącą i prawdopodobinie ostatnią... Wiecie że was dziedzic, mimo iż człek to pracowity, uczciwy i rządny, znajduje się w ciężkich stosunkach... Dwa tygodnie temu musiał od barona z Komarowa, ale nie od katolika, jeno od tego, co to przeszedł na wiarę luterską, pożyczyć znowu znaczniejszą kwotę... Jeżeli biedaczek długu nie zaspokoi zginie... Lżejby mi było umierać, bracia, gdybym choć wiedział, że ten kawałek poczciwej ziemi polskiej, który dziś znajduje się w rękach pana Milińskiego i nadal będzie jego własnością... Ale jak pomyślę, że go będzie musiał sprzedać i że Trzciniec kupi nie Polak ale ten Niemiec, ten nasz wróg śmiertelny, który zaparł się NMaryi Panny, a nam zgubę przysiągł, to taki mnie strach ogarnia i taki lęk zbiera, że się aż śmierci boję...

Tu chory przestał i dopiero gdy odpoczął dalej tak mówił:

— Wy, moi bracia, nie możecie opuścić swego dziedzica. Jakby on zginął, potem Niemcy wasby łatwiej zjedli... Znam we wsi każdego, wiem że nie jesteście bogaci, ale ponieważ niejeden z was ma trocha grosza odłożonego, więc przyrzeknijcie mi teraz, że w ciężkiej chwili pomożecie dziedzicowi, aby mógł barona zapłacić. Dziedzic was nie skrzywdzi, odda wszystko do ostatniego feniga, a wy zaskarbicie sobie tem łaskę u pana Boga. Wszak on wasz brat! Przyrzeknijcie mi, a spokojniej będę umierał...

— Proszę łaski jegomości — Wojciech pierwszy przemówił — ja tam wiele nie mam, teraz i syn dobrze udarł, ale mimo to, jeżli nasz kochany dziedzic będzie potrzebował, znajdę jeszcze dla niego pięćset bitych.

— A ja ośmset! — sołtys dodał.

— A ja trzysta — dodał jeden z gospodarzy.

— A ja czterysta — drugi skończył.

— Dziękuję wam bracia, dziękuję!... Nie uwierzylibyście jak mi teraz błogo, jakim ja szczęśliwy. Teraz o Panie! chętnie oddam ducha mego w ręce Twoje, bo oko moje ogląda już tu na ziemi zbawienie. Jak się będziecie wspierali, nie zginiecie!.. Chodźcie tu dzieci moje, chodźcie, niech wam podziękuję.

W ręce zimne a drżące wziął głowę każdego i kolejno składał na nich pocałunek ojcowski.

Wieczorem tego samego dnia, Żołędziak wrócił z sołtysem Cała osada na walnej naradzie obliczyła, że w danym razie będzie mogła dla dziedzica zebrać 20.000 talarów, które też nie wątpliwie złoży. Ksiądz tak się tem ucieszył, że na kilka godzin sił mu przybyło. Usiadł nawet na łóżku i do nocy wesoło rozmawiał, nawet żartował.

Dziś popołudniu spotkała go jeszcze przyjemniejsza niespodzianka. Baron Fryderyk po bytności we dworze, przyszedł na probostwo i z księdzem przeszło godzinę sam na sam rozmawiał. Ledwie odszedł chory polecił kościelnemu, by mu natychmiast sprowadził tych samych włościan z którymi o panu Milińskim mówił, a gdy ci przyszli rzekł radośnie:

— Bóg w nieprzebranem swojem miłosierdziu, nową nam łaskę zsyła. Przed chwilą był tu baron Fryderyk i chociaż nigdy mu o tem nie wspominałem, powiedział mi z własnej woli, że jeżliby pan Miliński potrzebował kiedy pieniędzy, a we wsi o tem wiedziano, to on sam jest gotów pożyczyć mu nawet trzydzieści tysięcy talarów, ale w ten sposób, żeby pan Miliński mniemał, iż te pieniądze od chłopów pochodzą. Kiedym go zapytał, dlaczego stawia taki warunek, odrzekł, że nasz dziedzic jest trochę dumny i Niemców nie lubi, więc prawdopodobnie nie wziąłby pieniędzy, gdyby wiedział od kogo pochodzą... Teraz moi bracia kochani macie dowód oczywisty, że Bóg miłosierny o człowieku zacnym nigdy nio zapomina. Chociaż baron jest Niemcem ale że ma duszę katolicką i serce poczciwe, więc sam się do nas z tem zgłosił... Dopiero dziś jestem całkiem spokojny i śmierci się już nie boję, bo kochany nasz pan Miliński nie zginie. Jak tylko będzie w potrzebie, zgłoście się zaraz do barona a on z pewnością słowa dotrzyma.

To powiedziawszy, chory wysilony upadł na poduszki. Włościanie zostali w jego pokoju. Czas płynął leniwo milczenia nikt nie przerywał. Gdy nareszcie ten i ów powstał aby wyjść, chory dał znak ręką, żeby tego nie czynili. Skinął na Żołędziaka, gdy ten do łóżka przystąpił, szepnął:

— Wojciechu! idźcie do dworu po dziedzica, bo mnie się widzi, co przyjechał...

Nie zawiodło go przeczucie. W pół godziny po oddaleniu się rybaka, drzwi cicho się odchyliły i do pokoju wszedł pan Henryk Miliński

Ksiądz leżał mając oczy zamknięte. Otworzył je kroki usłyszawszy, podniósł nieco głowę, uśmiech dziwnej słodyczy twarz mu rozjaśnił, wyciągnął rękę i szepnął:

— Bóg zapłać!...

*

Pan Miliński mając dłoń w jego dłoni usiadł przy łóżku. Chory znowu przemówił:

— Wojciechu... kościelny... podłóżcie mi jeszcze poduszkę pod głowę... chciałbym was zobaczyć... wszystkich razem..

Spełnili rozkaz. Ksiądz teraz prawie siedział. Spojrzał kolejno na każdego, uśmiechnął się, potem dał im znak, żeby mu swoje ręce podali, a gdy to uczynili, złączył je wszystkie razem, położył na nich swoje dłonie żółte, zimne, wychudzone i ostatnich sił dobywając, zaczął mówić:

— Trzymajcie się, trzymajcie, moje dzieci... Niech jeden drugiego wspiera, a nie zginiecie... Jeźlim przeciw któremu z was kiedy czem zawinił, przebaczcie mi, bo i ja byłem człowiekiem... Już niedługo stanę przed naszym Sędzią, a mam nadzieję, że on mnie za to nie potępi, żem przez ciąg mego życia, miłość kraju i Jego istoty, zawsze w jednę całość łączył... Nie naginałem nigdy religii do celów ziemskich, alem i ojczyzny nie poświęcał dla religji... Trzymajcie się bracia, brońcie tej ziemi świętej, a duch mój, patrząc na to, będzie się wielce radował...

Przestał. Przytomni wytężali sił ostatek, by głośnym płaczem nie wybuchnąć.

— Panie Miliński... przyjacielu mój... mam prośbę do ciebie — znowu szepnął, dając znak oczyma, by się inni cofnęli. Gdy to nastąpiło, a wezwany nad nim się pochylił, tak dalej mówił: — Tu, pod poduszką jest mały portrecik, pamiątka z lat dawnych... przy nim książka do nabożeństwa z włosami... Gdy umrę, włóż mi to przyjacielu, pod głowę do trumny... Niech moje wspomnienia zstąpią ze mną razem do grobu i by się nikt niemi nie gorszył, bo były czyste jak ta szata ślubna, w której to biedne dziewczę miało iść do ołtarza... Zrób to przyjacielu, zrób, a nawet za grobem wdzięczny ci będę...

Ostatnim wysiłkiem dźwignął się jeszcze, rozwarł oczy szeroko, jakby obraz tego co zostawia, chciał z sobą zabrać, jęknął: Gromnicy! i padł na poduszki.

Pan Miliński łzami zalany podał mu gromnicę, przytomni uklękli i łkając, jęli odmawiać modlitwę za umierających.

XXV.

Hrabina i pan Bielski odkąd się znali, pierwszy raz dopiero byli jednego zdania. Wracając z nieszczęsnego balu, polecali się Bogu, prosząc go gorąco, by do domu przyjechawszy nie potrzebowali widzieć Henryka. Bóg ich wysłuchał. Każde z nich dostało się niepostrzeżenie do swego pokoju.

Hrabina położyła się do łóżka natychmiast, nawet na służącą nie dzwoniła, by ją przyszła rozebrać. W mgnieniu oka sama tej ciężkiej pracy dokonała, a gdy światło zgasiła powiedziała sobie w duchu:

— Tydzień mu się na oczy nie pokażę. To będzie najlepsza taktyka... W ostateczności, wolę ten czas w łóżku przeleżeć, niż jego widzieć.

Pan Bielski sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Czuł że zawinił, ale czemu? Na to nie umiał sobie odpowiedzieć. W każdym razie nie tyle bał się, co wstydził się siostrzeńca i dlatego z wielką przyjemnością ujrzał się w swoim pokoju. Gdy od służącego, który przyszedł z wodą, usłyszał, że pod wieczór dzieci starsze niebezpiecznie zachorowały i że właśnie lekarz przyjechał, zaczął wzdychać, sapać, w końcu nawet się rozpłakał. Teraz rozumiał, czemu Henryk wpadł jak warjat do Ujścia, wszak on, Tadeusz Bielski, na jego miejscu się znalazłszy, to samoby uczynił. Chciał wyjść, aby dzieci zobaczyć i Henryka pocieszyć, ale gdy pomyślał, że siostrzeniec w żalu i uniesieniu, gotów mu jeszcze scenę wyprawić, cofnął się od drzwi, przy których stał właśnie i z desperacji, tak jak był we fraku i białym krawacie, rzucił się na łóżko. Wkrótce zasnął.

Gdy się zbudził, zaczynało dopiero szarzeć. Przed nim stał służący z listem w ręku. Szlachcicowi zimno się zrobiło, jakby miał odebrać wyrok śmierci. Trwoga nie trwała jednak długo.

— Od kogo? — zapytał głosem drżącym.

— Od pana barona Fryderyka Zarnecke z Komarowa.

— A ten czego chce odemnie?

— Nie wiem proszę wielmożnego pana. Baron przysłał tu powóz i swojego lokaja Wenzla.

— A to znowu co nowego! — mruknął szlachcic, list biorąc. Potem przetarł oczy, ziewnął raz i drugi, rozerwał kopertę i zaczął czytać.

Baron donosił w formie bardzo uprzejmej, że ponieważ dnia poprzedniego miał niemiłe zajście z hr. Arturem Wągrowskim, które bez rozprawy honorowej nie może być załatwione, przeto uprasza pana Tadeusza Bielskiego, by ten raczył przyjąć rolę sekundanta i w jego imieniu pojechał niezwłocznie do Ujścia wyzwać hrabiego. Przy końcu baron nadmieniał, że w Ujściu połączy się z nim jeszcze rotmistrz P... który podjął się obowiązków drugiego świadka.

Nasz szlachcic list przeczytawszy, aż w ręce klasnął. Nareszcie miał ktoś odpokutować za jego zgryzoty i kto wie, czy w tej sprawie właśnie nie najwinniejszy! To mu ulgę przyniosło. Nie tracąc tedy czasu, poprawił czemprędzej suknie na sobie i bez tchu zbiegł na podwórze. O śniadaniu, fajce, ani pomyślał. Zresztą rad był temu, że Henryka jeszcze czas jakiś nie będzie widział. Nie spotkał go też nigdzie. Już chciał wsiąść do powozu, gdy sobie dzieci przypomniał.

— Jak się dzieci mają? — służącego zapytał.

— Chore.

— A co im jest?

— Doktor powiedział, że będzie ospa, bo u nas we wsi wszyscy teraz na to chorują.

— Ospa!.. Jechałże cię sęk!... A to głupia historja!.. Miejmy jednak nadzieję, że wyjdą szczęśliwie. Jedź mój kochasiu, jedź, tylko dobrze! — zawołał na stangreta.

— Do Ujścia? — stangret zapytał.

— Do Ujścia! Nie, wpierw do Komarowa. Muszę się jeszcze z panem baronem zobaczyć.

Nasz szlachcic nie był tchórzem podszyty, a że za lat młodych miał sam dwa pojedynki, w kilku zaś innych przyjaciołom sekundował, więc prośba barona była mu nawet na rękę. Nietylko mógł zejść z oczu Henrykowi, lecz miał także nadzieję trocha się rozerwać, z góry bowiem wiedział, że pojedynek między archeologiem, a starym hrabią będzie czemś arcyzabawnem.

— Gdzie tam uczonym mumjom, brać się do szabli — sam z sobą rozmawiał — albo takim błaznom malowanym! Ręczę, że ani jeden, ani drugi nawet jej nie dźwignie... Ale może zechcą kłóć się rapirami, bo to ponoś modniejszy sposób... Jechał ich sęk z taką modą! U mnie dobra szerpentyna, to prawdziwa broń szlachecka. Pal od ucha, żeby mu aż ślepie wylazły i basta!

Urwał i coś się zamyślił.

— Lecz może ja źle robię — po chwili znowu mruczał — że będę sekundował Niemcowi, przeciw Polakowi. Bądź co bądź, Wągrowscy przecie Polacy... Tfu, jechał że ich sęk z taką polskością. Lepszy u mnie uczciwy Niemiec niż taki pokurcz polski Zresztą kto mnie pierwszy poprosił, temu służę. Niech się kpy biją, a świat tymczasem niech się poleruje.

Przyjechał do Komarowa.

Br. Fryderyk bardzo się zdziwił, widząc go u siebie, sądził bowiem, że jeżeli pan Bielski podejmie się wyzwać hrabiego, to w takim razie pojedzie prosto do Ujścia. Szlachcic prędko mu to jednak wyjaśnił, mówiąc, że dopóki nie dowie się, jakiego rodzaju była obraza, dopóty nie będzie mógł przystąpić do ułożenia warunków pojedynku.

— Ja panie baronie, nie biorę tych rzeczy lekko. Jak się bić, to się bić po wszelkiej formie... Jeźli mamy więc uchwalać, czy będziecie się panowie rąbali tylko do pierwszej krwi, czy też na śmierć, to przecie wpierw muszę się dowiedzieć, jak ciężka była obraza, aby do niej karę zastosować. Zresztą muszę z panem baronem pomówić także o broni, bo w liście jego nie było o tem wzmianki. A więc za co go baron wyzywa?

Zapytany nie chciał z początku dać żadnych wyjaśnień, wszelako gdy pan Bielski stanowczo mu powiedział, że w takim razie nie będzie mu sekundował, zaczął coś bąkać o obrażeniu pewnej damy, której honoru musi bronić.

— Jak widzę panie baronie, z ciebie trzeba wszystko ciągnąć liwarem! — pan Bielski zawołał. — Że damę obraził, wart po czubie dostać, ale w każdym razie muszę wiedzieć, co to była za dama, pańska siostra, kuzynka, narzeczona, czy całkiem obca, bo jedynie według tego można ocenić wysokość przewinienia. Więc kto to był i jak ją obraził?

Gdy baron jeszcze nie dał jasnej odpowiedzi, szlachcic zniecierpliwiony krzyknął:

— Skoro tak, to szukaj pan sobie innego sekundanta. Jechał że cię sęk z takiem zaufaniem! Jeżeli pan sądzisz, że byłbym zdolny zdradzić twoją tajemnicę, to nie zapra-

szaj mnie do współudziału w sprawie honorowej. Albo starosta, albo kapucyn, powiada nasze przysłowie, albo mi pan wszystko powiesz, lub też pisz do mnie na Berdyczów!

Baron zrozumiawszy nareszcie, że nie wykręci się byle czem, powiedział panu Bielskiemu, że hr. Artur obraził panią Milińskę.

— Eleonorę? Ale jak, jak?!

— Chciał ją pocałować... Ledwiem go od niej oderwał.

— A to psubrat! To łotr! Dam ja ci hultaju, popamiętasz ty ruski miesiąc! Ale — dodał, ku baronowi się obracając — dla czego pan go za to wyzywasz? Wszak to osoba obca, ledwie trocha znajoma.

— Znam całą rodzinę, zresztą jest kobietą, prócz tego hrabia napadł ją podstępnie.

— Wiesz co, baronie, nie spodziewałem się, że i między Niemcami znajdę człowieka tak rycerskiego. Dotąd mniemałem, że tylko my Polacy, umiemy kobiety bronić, ale skoro i ty, baronie, chcesz to samo czynić, więc niech że cię uściskam! — Tu rozwarł ramiona i archeologa objął za szyję. — Porządny z ciebie człowiek, słowo honoru, bardzo porządny, i tem więcej cię cenię, że tak mi na rycerza wyglądasz, jak ja, nie przymierzając, na biskupa. Z tem wszystkiem jednak nie sądź, baronie, że ci się z hrabią bić pozwolę. Obrona tej osoby do mnie należy, bo to moja kuzynka, żona rodzonego mego siostrzeńca.

— Przepraszam pana, com raz powiedział, tego nie cofnę — baron odrzekł.

— Ależ ja to lepiej załatwię, baronie! Ja go tak zoperuję, że najmniej przez rok będzie się potem lizał. Jechał że go sęk!... Baronie, słodziutki kochasiu, odstąp mi tego chłystka, tego psubratka, a przekonasz się, że cię doskonale wyręczę... Sam potem będziesz kontent.

Baron, mimo wrodzonej flegmy, zaczął się już irytować. Zdawało mu się, że stojący przed nim szlachcic bądź powątpiewa o jego waleczności, bądź też nie przypuszcza, by ręka uczonego, mogła broń utrzymać. Aby go więc z błędu wywieźć, oświadczył mu raz jeszcze z całą stanowczością, że od swego zamiaru nie odstąpi. Napróżno pan Bielski prosił go jeszcze, zaklinał, całował i nazywał »słodziutkim kochasiem« które to wyrażenie oryginalnie brzmiały wśród niemieckiej konwersacji, baron okazał się nieugiętym i szlachcic rad nie rad musiał ustąpić.

— A więc dobrze, jadę do Ujścia! — w końcu zawołał. — Ale słowo honoru, jeżeli ten cię drapichrust bodaj cię draśnie, kochanie baronie, posiekę go potem na kapustę!

Stanąwszy w Ujściu, odszukał rotmistrza, którego jeszcze dnia poprzedniego baron o wszystkiem uprzedził, poczem obadwa udali się do hrabiego. Znaleźli go w gabinecie syna.

Gdy pan Bielski, w słowach krótkich a jędrnych powiedział po co przyszli, hrabia usta otworzywszy, wypatrzył się najpierw na niego, potem na rotmistrza. Widać było z jego miny, że albo nie zrozumiał, o co idzie, bądź też przypuszczał, że z niego żartują. Dopiero syn go ocucił, gdy rzekł z flegmą.

— Masz zatem pojedynek.

— Co, ja?

— Tak jest, — rotmistrz potwierdził. — Chociaż jestem gościem pańskim, nie mogłem odmówić baronowi tej przysługi, bo wszyscy wiemy, jaki to człowiek zacny i honorowy.

— Tak, pewnie... ale czego on odemnie chce?

— My się do sporów nie mieszamy — pan Bielski wtrącił — Jako sekundanci spełniamy tylko nasze zadanie, prosząc hrabiego o wskazanie nam swoich świadków.

Ten, do którego te słowa były skierowane, mimo grubej warstwy blanszu i różu na twarzy, zmienił się do niepoznania Na policzkach potworzyły się grube fałdy, dolna warga w dół mu opadła, oczy zrobiły się mniejsze i na białkach pożółkły, ręce zaś zaczęły mu się trząść jak w febrze! Jakiś czas spoglądał jeszcze to na jednego, to na drugiego, potem odetchnął i rzekł z rezygnacją.

— Raczcie się panowie chwilę zatrzymać... Między gośćmi pójdę świadków poszukać, zaraz wrócę... zaraz...

Gdy wyszedł, rotmistrz wszczął rozmowę. Napróżno jednak mówił raz o tem, drugi raz o owem. Dyskurs urwał się głównie przez młodego hrabiego, który ust nie otwierał. Siedział on blady, w jeden punkt zapatrzony i zdawał się myśleć o czemś bardzo przykrem.

Nareszcie drzwi się otworzyły, i w gabinecie zjawiła się ciekawa figura. Był to człowiek niski, zgarbiony, łysiutenki, z ustami zapadniętemi, mający twarz żółtą, pomarszczoną, od której czarne brwi i takież wąsy odbijały jak sztuczne malowidło od wstrętnej rzeczywistości. Postąpił kilka kroków i do sekundantów się zwracając, rzekł głosem bez dźwięku:

— Macie mnie, kiedy chcecie, macie... Zazdrościcie starcowi, jeszcze tych kilku dni życia, które mu pozostają i koniecznie chcecie go zabić. A więc pastwcie się, mordujcie, ja się nawet bronić nie będę!

Rotmistrz zmarszczył brwi i w tył się cofnął. Pan Bielski przeciwnie schylił się i mówiącemu w oczy spojrzawszy, głośnym śmiechem parsknął.

— Cha, cha, cha, jechałże cię sęk! — zawołał. — Doprawdy, to hrabia! Ktoby to był przedtem pomyślał! Cha, cha, cha, już sześćdziesiąt lat żyję, a jeszczem nie widział takiego gagatka!

— Mordujcie... mordujcie... — hrabia jęczał.

— E! ktoby się nad takim znęcał — szlachcic odparł i ręką machnął pogardliwie. — Jak teraz widzę, to nie ma na co plunąć, nie dopiero z kim się bić! Jestem przekonany, że baron nasze zdanie podzieli. Chodźmy panie rotmistrzu, chodźmy, bo dłuższy pobyt z tym człowiekiem mógłby nam ubliżyć.

Już chcieli odejść, gdy młody hrabia się podniósł.

— Przepraszam panów za mojego ojca — rzekł poważnie — on w rzeczy samej jest już sędziwy i bardzo słaby... Mam atoli nadzieję, że panowie przyjmiecie mnie za niego, o co bardzo proszę.

Miłe zdziwienie ogarnęło obydwu sekundantów.

— Umiemy należycie ocenić honorowy sposób myślenia pana hrabiego — odpowiedział rotmistrz — ale propozycji jego sami przyjąć nie możemy. Nam wolno tylko odnieść się z tem do barona Zarnecke.

To powiedziawszy skłonił się i z towarzyszem wyszedł z pokoju.

Gdy na kurytarzu kroki ich ucichły, stary hrabia, który stał przy drzwiach i nadsłuchiwał, zatarł ręce, plasnął języczkiem i wesoło zawołał:

— Z tobą nie będzie się bił, bo nie ma za co... He, he, he, *Prachtvoll*! *Superbe!* Przekonałeś się Leonardzie co znaczy metoda.

Syn nic na to nie odpowiedział. Spojrzał tylko na ojca jakby z politowaniem, wyraz jego twarzy zrobił się jeszcze boleśniejszym, głęboko odetchnął i do okna się obrócił.

XXVI.

Jancia i Staś w rzeczy samej ospy dostały. Na szczęście przebieg choroby był dość lekki a troskliwa opieka Antosi tak wielka, że lekarz z góry zapowiedział iż będą zdrowe. Poczciwa dziewczyna na krok od ich łóżek nie odstępowała. Henryk chciał z miasteczka sprowadzić siostrę miłosierdzia, zakon ten bowiem jedyny, którego rząd pruski w Wielkopolsce dotąd nie rozwiązał, miał tam swój klasztor, a w nim sióstr kilkanaście, wszelako Antosia oparła się temu stanowczo, mówiąc, że jeżeli to uczyni, ona sama z Trzcińca zaraz wyjedzie. Nie jadła, nie spała, na chwilę nie spoczęła, aby ciągle być z dziećmi, kazała nawet swoje łóżko wnieść do ich pokoju, a taka przytem była cicha, słodka, niewymagająca, że jeżli kiedy to teraz, wszyscy nie mogli się jej nachwalić. Gorliwą jej pracę wszędzie było widać, ale jej głosu nikt nigdy nie słyszał.

Drugą osobą, która przy chorych dzieciach najdłużej przebywała, był ojciec. Siadywał on całemi godzinami przy łóżeczkach, wpatrywał się w ich twarzyczki obrzękłe, podawał im lekarstwa, a gdy im się zaczęło polepszać, bawił je opowiadaniem bajek, które jak umiał improwizował. Antosia chętnie mu w tem pomagała. Już to nikt nie miał w swej pamięci tak wielkiego jak ona zapasu bajek najpiękniejszych, które tak wdzięcznie umiała opowiadać, ze dzieci kazały sobie nieraz jednę i tę samą po kilkakroć powtarzać. Czyniła to chętnie, a one z równą przyjemnością zawsze słuchały.

Matka rzadko się tu pokazywała. W pierwszych dniach po owej nocy pamiętnej, częściej przychodziła, raz czy dwa acz z widoczną trwogą zbliżyła się nawet do samych łóżeczek i drżącym głosem dzieci pytała jak się mają; wszelako od tego czasu pokazywała się już tylko we drzwiach i ledwie od Antosi otrzymała odpowiedź na zapytanie: czy dzieciom lepiej, zaraz wracała do swego pokoju.

Co do hrabiny ta była jeszcze ostrożniejsza. Większą część dnia spędzała u siebie na górze, a przy obiedzie

i herbacie nie traciła już ani połowy tego czasu co dawniej. Chociaż zawsze mawiała, że prócz perfum i to w najlepszym gatunku, innych odorów nie znosi, mimo to ledwie lekarz jej powiedział że kwas karbolowy chroni od zarazy, kazała nim natychmiast swój pokój polać, skutkiem czego nie tylko wszystkie suknie, nawet jej ciało było tym odorem przesiąknięte. Gdy Antosia przez zapomnienie raz ją spytała, czy nie zechce dzieci zobaczyć, odpowiedziała z westchnieniem:

— Jabym im tem nie pomogła a siebie bym niepotrzebnie naraziła. Łatwo tym chorować, których ma kto doglądać, ale o mnie nieszczęśliwej wdowie, niktby nie pamiętał!...

Pana Bielskiego nie było, wyjechał przed tygodniem do Galicji, lecz żegnając się zapowiedział siostrzeńcowi, iż przy pomocy św. Florjana wkrótce do niego wróci. Szlachcic lękał się, żeby Henryk nie zrobił mu sceny za wyjazd na bal do Ujścia, tymczasem stało się przeciwnie. Siostrzeniec dowiedziawszy się od Antosi, w jak przymusowym położeniu się znajdował jego wujaszek, osądził, że inaczej nie mógł postąpić i jeszcze mu za to dziękował. Pan Bielski uradowany takim rzeczy obrotem, pogładził wąs sumiasty i Henryka po dwakroć ucałował.

Między panem Milińskim, a jego żoną i teściową, nie było więcej mowy o tym przykrym przedmiocie. Pani Eleonora unikała nawet wzroku męża, hrabina zaś pierwsze cztery dni po balu spędziła w swoim pokoju, tem się zasłaniając, że gwałtowna newralgja zejść jej nie pozwala. A gdy nareszcie pojawiła się w sali jadalnej, taka była chora i nieszczęśliwa, przytem taka cicha a pokorna, że zięć choćby był nawet chciał, nie miałby nawet serca robić jej wyrzutów. Powiedział jej tylko, że z Ukrainy wrócił prędzej niźli się spodziewał, ponieważ w jej majątku zachodzą stosunki i trudności, które ledwie ona sama mogłaby rozwikłać. Żaden zaś pełnomocnik a najmniej już on sam, nie odważyłby się brać wszystkiego na własną odpowiedzialność.

— W takim razie będę musiała pojechać — odrzekła z westchnieniem.

Zięć myślał, że to nastąpi zaraz nazajutrz, tymczasem dni mijały, teściowa bała się ospy jak ognia, a mimo to nie wyjeżdżała.

Niedawno odbył się uroczyście pogrzeb ks. Błażeja Czyżyka. Umarł tej samej nocy, kiedy pan Miliński był u niego, bez skargi, tylko głębiej westchnął. Na pogrzebie nie było oka suchego. Nawet Jasiek Żołędziak, choć temu w takich razach najtrudniej na płacz się zbierało, często chustką kraciastą oczy sobie ocierał.

Na niebie była już jesień. Rano i wieczór chłodny wiatr pociągał. Na kasztanach liście pożółkły i pierwsze zaczęły opadać, na drutach telegraficznych, jaskółki rojami siadywały, gotując się do zamorskiej podróży. Ale mimoto w dzień powietrze było jeszcze ciepłe, przyjemne, w południe nawet czasem przypiekało.

Choroba u dzieci szybko mijała. Sam lekarz dziwił się temu, a że człowiek to był skromny, rozumny i uczciwy, więc przypisywał to nie tyle swojej sztuce, ile ich silnej organizacji i krwi zdrowej. Wszyscy w domu długi czas bardzo się lękali, czy brzydka ta choroba nie zostawi po sobie śladów, co zwłaszcza dla Jańci byłoby fatalne. Na szczęście i to nie nastąpiło. Ospa złuszczyła się tak pięknie, że ani na twarzy chłopczyka, ani na liczku dziewczynki, nie było jednego dzioba. Dzieci teraz były nawet jeszcze piękniejsze, cera bowiem tak się u nich wydelikaciła, że na czole i skroniach widać było całą sieć żyłek niebieskawych. Prócz tego ich oczy nowym blaskiem jaśniały, duch bowiem który przez tyle dni walczył z gorączką i śmiercią, radował się teraz życiem i wszystko mu się w szacie jeszcze piękniejszej niż przedtem przedstawiało.

Dzień był nadzwyczaj cichy, ciepły i jasny, gdy Jańcia i Staś, za rączki się trzymając, pierwszy raz po chorobie z ciocią wyszły do ogrodu. Na rabatach kwitło pełno astrów i georginń, świeża mogiłka piasku była pod murem usypana, przy niej stały nowe taczki i łopatki. Dzieci rzuciły się z okrzykami radości do upragnionej zabawy. Antosia, aby je mieć na oku, weszła do altany, na której dzikie wino zaczynało się czerwienić.

Nie długo była sama i wkrótce przyszedł tu za dziećmi ich ojciec. Ucałował najpierw córkę, potem chłopczyka i dowiedziawszy się od nich, gdzie ciocia się znajduje, z okiem radością promieniejącem poszedł da altany.

Siedziała na ręku wsparta, zapatrzona w żywe wody źwierciadło. Na jej twarzy nie było ani radości, ani smutku, ale coś z jednej i z drugiego coś, coby można nazwać lubą żałością. Co ją smuciło, a co cieszyło, czego żałowała a do czego tęskniła, o tem wiedziało tylko jej serce, nikt więcej...

— Antosiu! tak jestem dziś szczęśliwy, że nawet nie wiem, jak ci podziękować, za ten dzień rozkoszny! — przemówił Henryk przed nią stojąc.

Zwróciła ku niemu głowę, uśmiech niezrównanej słodyczy usta jej rozjaśnił, podała mu rękę i rzekła:

— W twojem szczęściu Henryku, znajduję dla siebie najpiękniejszą podziękę.

— O! jakaś ty dobra moja siostro, jakaś ty dobra!— zawołał, jej rękę do swoich ust przyciskając. — Są matki, które niestety kochają więcej siebie, niż płód własny, a ty dla dzieci cudzych byłaś przez tyle tygodni siostrą miłosierdzia i nawet o tem nie myślałaś, żeś sama mogła uledz tej chorobie!

— Ostrzegałeś mnie nieraz Henryku, a jednak widzisz, że nic mi się nie stało. Zdaje się, iż słuszność ma nasz lekarz, gdy utrzymuje, że choroby epidemiczne najbardziej tych lubią, którzy się ich boją. Jam się nie bała, więc jestem zdrową. A zresztą — dodała smutno głową potrząsając - choćbym była nawet ospy dostała, czyż byłby to dla mnie cios wielki? Zeszpecenie nie zabrałoby mi urody, bo tą nie grzeszę, śmierć nie wydarłaby światu istoty, mającej jaką taką wartość...

— Antosiu! nie mów tak, bo anibyś dała wiarę, jak mnie wtedy każde twoje słowo boli! Tyś dla mnie skarbem najdroższym, bo odkąd przestąpiłaś próg mojego domu, życie, które zaczynało mi już ciężyć, o bo prędzej przyszło rozczarowanie, niż trwała ułuda, nabrało w moich oczach większej wartości i dziś, jeźli jeszcze co kocham i posiadam, tobie to zawdzięczam, droga siostro! Tyś była opiekunką moich dzieci, a więc i moją, tyś była gwiazdą jasną, co świeciła na ciemnym widnokręgu mojego żywota, tyś była aniołem stróżem tego domu! Antosiu! jeźli jest na świecie istota, którą kocham prawdziwie, ty nią jesteś! A miłość moja nie wypływa z tych mętów, które poziomą rodzi namiętność, ja czuję że jej źródło jest jak kryształ czyste, bo ona ma za podstawę przyjaźń i szacunek.

Gdy to mówił, jej rękę cisnął do swej piersi, wzrok zaś pełen zachwytu wlepił w jej twarz lekko zarumienioną. Ona głowę schyliwszy słuchała, przejęta niewysłowionem szczęściem i zarazem trwogą, której przyczyny nie rozumiała, a gdy skończył, szepnęła:

— Nie mów tak Henryku, nie mów...

— Czemu Antosiu? Czyż sądzisz, że słów, którem ci powiedział, nie mógłbym przed całym światem powtórzyć? O! wierz mi, wszystko coś usłyszała, wypływa z głębi mojego serca, bo niestety, na świecie nie ma dziś kobiety, którąbym wyżej stawiał nad ciebie!

— Brawo! brawo! — dał się słyszeć głos ostry, suchy, na wskroś przeszywający.

Henryk spojrzał przed siebie i gniewnie brwi ściągnął. Antosia krzyknęła w tył się cofając.

Przed nimi u wejścia altany, stała piękna Eleonora, z oczyma roziskrzonemi, z których zdawały się padać pioruny, z nozdrzami rozdętemi, blada, straszna, nieubłagana. Za jej plecami widać było hrabinę. Ta parasolką wymachując, biegła do domu.

— Brawo! brawo! Cha, cha, cha! jeszcze tylko tego brakowało! — piękna dama znowu zawołała. — Jaka szkoda, żeście państwo byli tak nieostrożni i to miejsce dla wszystkich dostępne, a nie inne wybraliście sobie na schadzkę miłośną! Wiesz panie mężu — dodała z ironicznym uśmiechem — że zazdrośną nie jestem, nigdy nie szpiegowałam i nie podsłuchuję, ale trudno nie usłyszeć, gdy się mówi w biały dzień, w ogrodzie i do tego tak głośno!

— I cóżem powiedział kobieto? — zapytał Henryk, szybko powstając.

— Coś powiedział? A to że ją kochasz i stawiasz najwyżej na ziemi, czy to nic, nic?!

— Com powiedział, nie cofam, przeciwnie sto razy to samo powtórzę, a tobie mówię kobieto, padnij do nóg, tej poczciwej dziewczynie, bo jeźlim cię dotąd nie porzucił, jeźlim zupełnie tobą nie wzgardził, niczyja tylko jej w tem zasługa!

— Henryku! Henryku! — krzyknęła Antosia obie ręce ku niemu wyciągając, jakby niemi chciała usta zamknąć.

— Rzuć mu się na szyję, rzuć, w mojej obecności!— zaszydziła Eleonora. — Wszak wart, byś mu w ten sposób podziękowała za zniewagę, którą własnej żonie wyrządził.

— Kobieto, nie obrażaj poczciwej dziewczyny, bo nie pozwolę!

Jeszcze tylko brakuje, byś się na mnie targnął!... Zrób to, zrób, jam na wszystko przygotowana. Teraz rozumiem, dlaczego w ostatnich latach byłeś taki obojętny, czemu z wszystkiem do niej się tylko odnosiłeś, czemu pod opiekę dzieci jej oddałeś... Chciałam wziąć bonę, nie pozwoliłeś, boś miał...

W zapamiętałości omało strasznego słowa przez usta nie wyrzuciła, mąż atoli tak okropnym spojrzał na nią wzrokiem, że wstrzymała się, mimo gniewu co nią trząsł całą.

Antosia upadła na ławeczkę i twarz sobie dłońmi zasłoniła.

— Chcesz bym ci odpowiedział na twoje zarzuty? — zapytał. — Mówisz że byłem dla ciebie obojętny? Tak jest, przyznaję, a wiesz czemu? Dlatego żem się przekonał, iż prócz blichtru zewnętrznego, prócz tej buzi, którą świat cały pragniesz podbić, nie miałaś w sobie nic więcej pięknego! żeniąc się z tobą, chciałem mieć żonę kochającą, poczciwą matkę, życzliwą przyjaciółkę! Cóżem znalazł! Godną córkę swojej własnej matki, zimną, samolubną, nie myślącą o nikim i o niczem jeno o sobie! Co ciebie mąż obchodził, co dzieci, co świat cały! Ponad tem wszystkiem była twoja piękna buzia, którą codzień kokietowałaś mnie, matkę, siostrę, sługi, nawet własne dzieci! O! czemuś mi nie wyznała ongi w Marienbadzie, kiedy to niebacznie zbliżyłem się do ciebie, jakie właściwie są twoje pragnienia? Uczyniwszy to, byłabyś zobaczyła, czy nieszczęśliwy twój mąż dzisiejszy, byłby się więcej starał o twoje względy... Oszukałaś mnie więc kobieto, podeptałaś moje szczęście, zabiłaś mi życie, a dziś śmiesz jeszcze groźnie na tę się marszczyć, która wśród ciągłej goryczy, jedyną mi była osłodą?! Powiadasz, żem się do niej z wszystkiem odnosił, żem jej dzieci oddał w opiekę? Uczyniłżem to może przemocą wbrew twojej woli? Czy chciałaś być kiedy gospodynią w moim domu, a po wydaniu na świat niemowląt, czy poczuwałaś się jeszcze w obec nich do jakichkolwiek obowiązków? O! lepiej daj pokój temu wszystkiemu i nie graj komedji, jak ongi pod krzyżem, bo niestety znam cię już zanadto dobrze, bym teraz cokolwiek dał w siebie wmówić!

Ona słuchając go, chwyciła się oburącz słupa u wchodu altany, w oczach bowiem tak jej pociemniało, że omało nie upadła. Bądź co bądź na świecie nikt jej jeszcze tyle nie powiedział.

Męża nigdy nie kochała; wyszła za niego, bo wszyscy jej mówili, że jest bardzo bogaty, przytem był młody, nie brzydki i uczciwy; prócz tego chciała rozłączyć się z matką, której także nigdy nie kochała i pragnęła zostać jak najprędzej panią własnego domu. Ale chociaż Henryk nie obudził w niej ani uczciwej cichej miłości, do której jej zimna i samolubna natura nie była może zdolną, ni też ognia owej szalonej namiętności, w którym czasem nawet marmur się trawi, człowiek ten bowiem nie był bohaterem, porywającym kobietę za sobą, lecz zwykłym śmiertelnikiem — mimo to ona miała od samego początku wielki dlań szacunek, gdyż w duchu musiała się korzyć przed jego szczerą i na wskroś uczciwą naturą. Gdy jednak później spotrzegła, że mąż zaczął ją przezierać, szacunek ustąpił, a na jego miejscu znalazła się obawa. Jeszcze później, gdy coraz bardziej od niej się oddalał, do obawy przyłączyła się niechęć... Teraz, chociaż jej miłość własna niezmiernie na tem cierpiała, że własny jej mąż, który ją do śmierci powinien był wielbić, przeniósł nad nią kobietę brzydką, bez talentów i bez wyższego polotu — i chociaż gniew jej był nierównie większy niż boleść, mimo to usłyszawszy w altanie jego wykrzykniki, uczuła równocześnie pewne zadowolenie, bo sądziła że zemści się na nim za bardzo wiele rzeczy, głównie za ową bojaźń, którą z dawien dawna sam jego widok ją napełniał, za to że nie wierzył w szczerość komedji, której grała i za tę zniewagę, którą jej na balu wyrządził. Biegła więc do altany, by go do nóg swoich rzucić i na proch zetrzeć, a tymczasem z oskarzycielki, jaką być pragnęła, sama została oskarżoną. Dlatego to jej w oczach tak ciemno się zrobiło, dlatego to oburącz słupa się chwyciła!...

— Dobrze... dobrze — szepnęła. — Rób co chcesz ale przynajmniej uważaj na honor swego domu, unikaj skandalu, wszak masz córki...

— Kobieto! co się tobie właściwie roi?!... —jeszcze głośniej krzyknął. — Przywiązana całem swojem jestestwem tylko do materji, do powierzchowności, snać nie przypuszczasz nawet, by między mężczyzną a kobietą, mogła istnieć czysta przyjaźń, nic więcej! Jeślim ci powiedział, byś jej do nóg upadła, to dla tego, że moim dzieciom niosła miłość macierzyńską, choć nie była kochanką ich ojca, że czystej tej dziewicy, nawet myślami nigdym nie pokalał! Jeżeliś mnie jeszcze nie zrozumiała, kobieto, to chyba na tym świecie już to nigdy nie nastąpi!

Ona w rzeczy samej nie mogła go zrozumieć. To, co teraz usłyszała, brała za prosty wykręt, za nic więcej. Wszak jako mężczyzna musiał mówić tak, a nie inaczej. W romansach, których tyle przeczytała, ileż było doń podobnych!

— Niech i tak będzie... przecie musisz się bronić... ona natomiast ma tyle uczciwości, że milczy... Nie będę wam przeszkadzała, nie będę... Proszę was tylko, byście unikali jawnego skandalu, przynajmniej do czasu, póki wam się nie usunę... Dobrze... Dobrze...

To powiedziawszy, krokiem wolnym, z głową zwierzoną, oddaliła się tą samą ścieżką którą niedawno poszła jej matka do domu. W ruchach była spokojna i poważna, jak Niobe.

Henryk spojrzał za odchodzącą i aż zębami zgrzytnął.

— Nawet teraz ją poznaję — rzekł do siebie w najwyższem oburzeniu.

Antosia, która dotąd siedziała z twarzą rękami zakrytą, zerwała się nagle, i do szwagra przyskakując, zawołała:

— Henryku! daj mi konie! Pójdę zaraz, natychmiast... gdzie bądź, bylem tu nie była!... Może mi za wami serce pęknie, ale niech lepiej ono pęka, niż miała by Eleonora jeszcze dłużej tak straszliwie mnie posądzać! Henryku! Henryku! czemże ja przeciw wam zawiniłam, że tak okropne spadają dziś na mnie zarzuty?!

— Właśnie Antosiu, żeś niczem nie zawiniła, nie powinnaś brać sobie tego do serca... Wiesz najlepiej sama, że Eleonora jest na błędnej drodze. Mając od tak dawna słuszny żal do niej, przytem gniewem uniesiony, nie ważyłem przed chwilą słów moich, więc łatwo być może, iż one zamiast osłabić jej podejrzenie, raczej ją w niem utwierdziły. Ale to wszystko da się jeszcze załatwić... Dziś lub jutro, gdy będziemy spokojniejsi, pomówię z nią w cztery oczy, i nie wątpię, że mnie zrozumie Uspokój się Antosiu, uspokój, i nie płacz, bo wiesz że każda łza twoja, jest kroplą roztopionego ołowiu co mi na serce pada. Uspokój się, Antosiu, patrz, dzieci idą.

To powiedziawszy, wziął jej głowę w swoje ręce i w czoło ją pocałował.

— Ciociu! ciociu! — dał się słyszeć głos małej Janci. — Chodź zobaczyć, jakiśmy pałac postawiły.

— Chodź ciociu, chodź! — prosił Staś. — To ja pałac postawil.

Obtarła łzy, i z altany wychodząc odpowiedziała:

— Idę aniołki, idę!

XXVII.

Dnia tego dom cały był rozbity. Pani Eleonora położyła się do łóżka, mówiąc, że ją głowa boli; Hrabina jadła objad w swoim pokoju, i sługom zapowiedziała, że zaraz po południu muszą zacząć jej rzeczy pakować, bo już wkrótce z Trzcińca wyjedzie; Henryk był więcej w polu niż w domu. Antosia z dziećmi tak się gdzieś chowała, że nie zawsze sama nawet piastunka mogła ją odszukać.

Późnym wieczorem, gdy już światło zgasło w oknach wychodzących z pokoju gospodarza, a dzieci usnęły, pani Eleonora w białym negliżu, opuściła w towarzystwie matki swoją sypialnię i na palcach udała się z nią do pokoju Antosi, która dotąd czuwała coś przy lampie robiąc. Piastunka, ujrzawszy obie te panie o godzinie tak spóźnionej w pokoju dzieci, tak się przestraszyła, że w pierwszej chwili omało nie krzyknęła Na szczęście wstrzymała się, tylko kołdrą głowę sobie nakryła, by myślały, że już spi. Dopiero gdy obie weszły do pokoju panienki i drzwi na klucz za sobą zamknęły, piastunka zdjęta ciekawością, z łóżka swego wyskoczywszy, przy drzwiach stanęła. Klucz w dziurce był obrócony, a że tam na stole lampa się paliła, więc dziewczyna mogła wiele widzieć i nie jedno usłyszeć. Przytknęła ucho do drzwi. Słyszała głosy, mówiły bardzo cicho, więc pojedynczych wyrazów nie mogła schwycić. Prócz tego zdawało jej się, że hrabina mówiła tylko po francusku. Znowu oko ciekawe do dziurki przytknęła.

Obie panie chodziły prędko po pokoju, wymachiwały rękami, czasem to jedna to druga zatrzymywała się przed Antosią, która gorzko płacząc, na dawnem miejscu ciągle siedziała i zdawało się jakby jej coś tłumaczyły. Szczególnie zirytowana, nawet oburzona była hrabina. Ta kilkakrotnie palec swój do czoła córki przytknąwszy, silnie nim w jej głowę pukała, jakby tam pragnęła obudzić bądź wstyd, bądź rozum. Antosia podnosiła na nią oczy łzami zalane, składała ręce, zdawała się przysięgać, nic nie pomogło. Gdy ona się usprawiedliwiała, matka była jeszcze bardziej rozdrażniona i gdyby nie to, że ciągle używała języka francuzkiego, piastunka byłaby wtedy nie jedno usłyszała, gdyż hrabina mówiła głośniej i wyraźniej a dobitnie.

Przykra ta scena trwała najmniej godzinę. Nareszcie Antosia szybko się podniósłszy, rzuciła się na kolana i mając ręce do góry podniesione, wlokła się za siostrą, która przed nią uciekała, wciąż ją od siebie odtrącając. Na ten widok piastunkę taki żal ogarnął, że aż na ziemi usiadła, by nie patrzeć dłużej na tę scenę. Ona tak panienkę kochała, a teraz siostra i matka tak ją tam dręczą! O! gdyby pan przyszedł, on prawie co noc zaglądał do pokoju dzieci, zarazby to ustało. Pan jednak nie przychodził, z drugiego zaś pokoju dolatywały ciągle groźne okrzyki, płacz, skargi.

Znowu spojrzała do środka Panienka siedziała tam gdzie pierwej i już nie płakała, tylko oczy miała bardzo czerwone i twarz jakby obrzękłą. Na to co mówiły jej siostra i matka, przestała całkiem odpowiadać. Te jeszcze czas jakiś chodziły po pokoju, nareszcie ku drzwiom się zwróciły. Przestraszona piastunka skoczyła do swego łóżka i znowu z głową się przykryła.

Zjawiła się na palcach najpierw starsza, potem młodsza i pierwsza poszła w prawo na górę, druga udała się do swojej sypialni.

Za chwilę w pokoju panienki dał się znowu słyszeć płacz gorzki. Piastunka nie mogła oka zmrużyć.

Była już może trzecia po północy, gdy Antosia weszła do pokoju dzieci. Zbliżyła się kolejno do każdego łóżeczka, wpatrywała się w śpiące aniołki i każde łagodnie ucałowała, by się nie zbudziło. Potem wróciła do swojej sypialni.

Co się dalej działo, piastunka już nie wiedziała, gdyż nad ranem sama usnęła.

Antosia tej nocy wcale się nie kładła. Chodziła, płakała, modliła się, w końcu coś pisała i pieczętowała. Gdy dzień się zrobił, zarzuciła chustkę na głowę, weszła do pokoju dzieci, tak samo jak w nocy, zatrzymywała się przed każdem i każde całowała, nakoniec ciężko westchnąwszy, wybiegła.

Na kurytarzu nikogo nie spotkała, nikogo także w ogródku kwiatowym. W furcie, przez którą wychodziło się na brzeg jeziora, tkwił klucz jak zwykle. Obróciła go ruchem nerwowym i furtę otworzywszy, znalazła się po drugiej stronie muru.

Biegła wzdłuż wody. Nareszcie zrobiwszy kroków kilkanaście stanęła, by raz jeszcze spojrzeć na ten dwór czerwony, w którym zostawiła wszystko co na ziemi kochała. Chwilę spoglądała na okna dzieci, Henryka, siostry i matki, potem rękę do serca przycisnąwszy, puściła się dalej brzegiem, dążąc tam gdzie się trzciny kończyły, a zaczynała topiel ciemna, spokojna, bez ziela... Już niedaleko, jeszcze kilka kroków, za chwilę znajdzie grób zimny... Gdy w nim spocznie, spokój tym wróci, których acz mimowolnie, unieszczęśliwiła na ziemi. .

Przybiegła, już chustkę rozwinęła, już miała rzucić się do wody, gdy niespodziewanie ujrzała przed sobą łódź, a w niej dwóch ludzi.

To stary Żołędziak z synem Jaśkiem, włok w tem miejscu wyciągali.

— Pochwalony Jezus Chrystus panienko! — rybak ją pozdrowił. — Będzie Jaśku szczęście, będzie, skoro taka dobra panienka pierwsza nas zobaczyła.

Jasiek uśmiechnął się, czem chciał słowa ojca potwierdzić i tak samo jak on zdjął kapelusz.

— Na wieki wieków — z trudnością wyrzekła.

W piersi tchu jej brakowało, niepojęta trwoga biedne serce ogarnęła, na czoło zimny pot wystąpił. Dopiero teraz stanęło jej żywo przed wzrokiem duszy, co chciała uczynić i przelękła się własnego zamiaru...

— Ciociu! ciociu! — słyszała wołanie dalekie, niewyraźne, jakby echo konające.

Obróciła się do dworu.

— Ciociu! ciociu! — dwa głosy razem powtórzyły.

W oknie wychodzącem z pokoju dzieci, ujrzała dwie małe postacie w białych koszulinach, jak do ogrodu główki wychyliwszy, szukały po nim swojej opiekunki.

— Boże! dziewczyna pewnie śpi jeszcze, a Jancia sama okno otworzyła!... Niedawno były chore, takie dziś zimno, gotowe się przeziębić!...

Z temi słowy puściła się nazad do domu. Biegła prędko, ostatek sił dobywając, a gdy do ogrodu wpadła, dzieci na jej widok radośnie zawołały:

— Ciocia idzie! ciocia!

— Jańciu! zamknij okno na litość boską! Zaraz zamknij!

Dziewczynka jej rozpaczliwym głosem przestraszona, odciągnęła braciszka i okno zamknęła. Równocześnie do ich pokoju sama wbiegła. Zbudziła piastunkę, potem to jedno, to drugie dziecię brała na ręce, całowała je gorąco, śmiała się i płakała. One wypytywały ją ciekawie czemu je opuściła i bez nich nad wodę poszła, ona zaś tłumaczyła się jak mogła i na natarczywe prosby dzieci przyrzekła, że bez nich już ani na krok z pokoju nie wyjdzie.

Mimo to, jak tylko dzieci bawić się zaczęły, a ona przez okna zobaczyła, że szwagier na koniu na pole wyjechał, natychmiast schowała do kieszeni listy, które w nocy pisała i drugi raz chustką głowę owinąwszy, niepostrzeżenie z domu się wymknęła. Tym razem nie pobiegła jednak do wody, tylko polami i lasem do szosy. Przez cały czas ani raz nie stanęła, ani raz się nie obejrzała. Snać lękała się, by jej kto znowu nie zawołał i nie zatrzymał.

Pod samym Komarowem zaczęły ją siły opuszczać. Na szczęście swoje ujrzała barona Fryderyka. Właśnie wychodził z ogrodu razem z Wenzlem. Z zaufaniem przybiegła do niego.

— Panie baronie, odeszlij mnie z łaski swojej do miasta! — zawołała.

Wypatrzył się na nią okiem zdziwionem.

— Panno Antonino, co ci jest? — zapytał.

— Muszę tam być zaraz... koniecznie... Chcę się widzieć z siostrami miłosiernemi.

— Z niemi? A to na co panno Antonino?

— Nie pytaj mnie o nic więcej panie baronie, tylko jeźli łaska, zaraz mnie odeszlij, bo pieszo nie dojdę.

Ściągnął brwi i usta wydął. Potem do Wenzla się obracając rzekł:

— Idź! niech do powozu zaraz zaprzęgną.

— Do powozu panie baronie?

— Tak jest.

— Pięć talarów, proszę pana barona...

— Natychmiast! — baron zawołał i rękę podniósł na znak, że Wenzel nie powinien tu stać dłużej.

Stary sługa odszedł głową kręcąc. Bo może jego pan zechce być znowu marnotrawnym.

XXVIII.

Pan Miliński ledwie koło południa do domu wrócił. Pierwsze dzieci wybiegły już z daleka na jego spotkanie, z płaczem wołając, że cioci nie ma. Z początku nie chciał w to uwierzyć, lecz gdy piastunka i inni domownicy potwierdzili mu tę wiadomość, ogarnęła go trwoga niezmierna. Scena z dnia poprzedniego stanęła mu żywo w pamięci. A więc nic innego, tylko to wypędziło ją z jego domu. Ale gdzie poszła, co się z nią stało? Już chciał z konia zeskoczyć, udać się do jej pokoju, by tam szukać śladów i wskazówek mogących go na jej ślad wprowadzić, gdy w bramie spostrzegł fornalów, wracających z łanu pod lasem, na którym orali.

— Nie widzieliście gdzie panienki? — zawołał.

— Rano szła jak do Komarowa, a potem tośmy ta jej nie widzieli.

Wspiął konia i galopem popędził do Komarowa. Tu dowiedział się od archeologa, że Antosia w rzeczy samej była w Komarowie, ale niezwłocznie odjechała do klasztoru panien miłosiernych, gdzie też została.

Chwili nie tracąc, ruszył do miasta. W konwencie przełożona uprzejmie go przyjęła, a gdy jej oświadczył, że pragnie natychmiast widzieć się z siostrą swojej żony, kazała ją zaraz przyprowadzić.

Ujrzawszy Antosię wziął ją za rękę, prosił, błagał, zaklinał, by nie osierocała jego domu, ale chociaż słowa jego były niebiańską muzyką dla jej serca i duszy, mimo to wy-

słuchawszy go z oczyma spuszczonemi, głosem cichym tak odpowiedziała:

— Henryku! jeżeli mi dobrze życzysz i chcesz bym była spokojną, to nie żądaj odemnie rzeczy, która przyniosłaby nieszczęście tak mnie jak tobie!.. Snać Bóg nie chciał, by w domu twoim życie mi cicho płynęło, by dzieci twoje oczy mi kiedyś zamknęły... Czemu więc zuchwale mamy targać się na jego wyroki? Ja pozostanę dla was zawsze taką, jaką byłam a gdy namiętności ucichną i rozwieją się podejrzenia niesłuszne, wtedy chętnie będę was odwidzała... Widzisz Henryku, umyślnie wybrałam ten oto klasztor, nie inny, żeby być blisko Trzcińca. Zostaw mnie tu przyjacielu, niech w poświęceniu dla ludzkości znajdę cel życia, w murach klasztornych spokój, w zapomnieniu, ukojenie... Jeżeli mi dobrze życzysz Henryku, zostawisz mnie tu z moją boleścią z z Bogiem.

Tyle było żalu serdecznego w jej słowach i tyle razem stanowczości w jej głosię, że więcej nie nalegał Pocałował ją tylko w rękę, dziękując za wszystko, co jej ze swemi dziećmi zawdzięczał, pożegnał się i do głębi wzruszony odjechał.

W domu pierwszą osobą, którą spotkał, była teściowa. Stała na ganku jakby wyglądała jego przyjazdu. Jeszcze nie zsiadł z konia, a ona już zawołała:

— Eleonora chora.

— Chora? Cóż jej jest?

Wzruszyła ramionami.

— Szczególne zapytanie! Ciekawam gdzie jest kobieta z sercem, którąby się nie rozchorowała po takiem odkryciu, jak wczorajsze...

Nie wysłuchał całego przemówienia, bo już biegł do pokoju żony. Zastał ją w rzeczy samej bardzo rozgorączkowaną. Przystąpił do łóżka.

— Co ci jest! — zapytał.

— Nudzi mnie... pali... poszlij po lekarza.

Zaraz to uczynił. We dwie godziny przyjechał lekarz. Oglądnął chorą, na jej zapytanie czy jest chora niebezpiecznie, odpowiedział, że jest to mała niedyspozycja, która do dwóch dni z pewnością minie, lecz gdy potem ujrzał się w obec pana Milińskiego i hrabiny, rzekł poważnie:

— Nie przestraszajcie się państwo, boście nie dzieci. To jest ospa...

— Ospa?! — hrabina zawołała i kurcz za gardło ją chwycił.

— Niestety.

— Ospa! ospa! biedaczka dostała jej ze zmartwienia!

Lekarz uśmiechnął się złośliwie.

— O takiej ospie dotąd nie słyszałem... chociaż kto wie... na świecie jest ponoś wszystko możliwe.

— Ospa! ospa! Jakiżby to dla niej był cios straszliwy! — jęknęła hrabina ręce łamiąc.

Mąż stał ponuro przed siebie zapatrzony. Po chwili udał się do sypialni żony.

Przeciwnie hrabina dnia tego więcej tam nie zaglądnęła. Wszedłszy do swego pokoju, natarła sobie zaraz ręce i twarz jakimś silnym octem, na miseczkę nalała kwasu karbolowego, którego całą ieszcze flaszkę miała w szafie, pokropiła niemi *Lalunię, Pinia i Finia,* nakoniec zadzwoniwszy na sługę, kazała jej na łeb na szyję rzeczy dalej pakować.

Jeszcze wczoraj zamierzała wszystko z sobą zabrać; wszelako teraz inaczej się namyśliła. Aby wszystkie kufry popakować, potrzebowałaby najmniej tydzień czasu, tymczasem adwokat właśnie pisał, że szybki jej przyjazd jest niezbędny, każda bowiem dalsza zwłoka musiałaby pociągnąć za sobą nader smutne następstwa. Aby więc uczynić zadość woli adwokata, postanowiła wziąść z sobą to tylko, bez czego żadną miarą nie mogła się obejść, resztę zaś miano jej później wysłać.

Zięć usłyszał od niej nietylko bez żalu, nawet bez zdziwienia, że nazajutrz rano na kolej pojedzie.

— Powiedz tylko mój syńciu drogi furmanowi, żeby mnie gdzie nie wywrócił, bo zapewne ty sam nie będziesz mnie mógł odprowadzić.

— Niestety! Przez wzgląd na chorą żonę, będę sobie musiał odmówić tej przyjemności... Mama może być jednak całkiem spokojna. Nasi ludzie nigdy nie wywracają, zwłaszcza na tutejszych drogach.

Nazajutrz, gdy już wszystko było gotowe, natarła się po dwakroć octem, pokropiła suknię i pieski kwasem karbolowym i drząca, wzruszona, poszła z córką się pożegnać. Gdy drzwi od jej pokoju odchyliła, ujrzała przed sobą zięcia.

— Śpi! — rzekł palec do ust przykładając.

— Skoro tak, to nie chcę jej budzić... Niech śpi biedaczka, to ją pokrzepi... Jak się zbudzi, ucałuj ją drogi syńciu odemnie i powiedz jej jak mi to było boleśnie, żem się z nią nie mogła pożegnać. Ale co począć, biedna wdowa musi jechać walczyć, bo nikt się nad nią nie zlituje.

Zięc pocałował ją w rękę, ona go w czoło i szybciej niż tu wchodziła, wybiegła do sieni. W minutę, trzymając *Lalunię* na rękach wsiadła do karety i odjechała.

Służba na ganku zebrana, odprowadzała ją wzrokiem pełnym nienawiści, życząc jej przytem wszystkiego, prócz szczęścia...

Spory już była kawałek za dworem, gdy jej Antosia na myśl przyszła. Od służby wiedziała, że jej młodsza córka schroniła się do klasztoru panien miłosiernych, ale jaka szkoda, że Henryk jej nie powiedział, jak ją tam zastał. Wszak to rzecz niezmiernie ciekawa. Gdyby tak wypadało, po te szczegóły zajmujące z drogiby się jeszcze wróciła, lecz nużby jej zięć wziął to za złe i nic nie powiedział. Po takim brutalu można się przecie wszystkiego spodziewać. Zresztą tem się także pocieszała, że najbliższy list będzie miała od czego zacząć i że wszystko, o czem później dowie się o Antoninie, będzie jej na Ukrainie wielką dystrakcję sprawiało...

Choroba u pani Eleonory rozwijała się prawidłowo, wszakże bez porównania była gwałtowniejszą niż u dzieci. Do kilku dni całe ciało było jednym trądem okryte.

Antosia za zakonnicę przebrana, przyjechała z drugą siostrą i odtąd chora na jednę chwilę nie była sama. W dzień czuwała przy niej jedna, w nocy druga. Mąż często przychodził, siadał w nogach łóżka, wpatrywał się w tę twarz, która niedawno jeszcze była tak piękną, a teraz tak potworna i nie bez boleści myślał o tem, że matka jego dzieci musiała straszliwie cierpieć. Odkąd choroba rzuciła ją na łoże w pamięci jego coraz prędzej zacierały się niemiłe wspomnienia, żal, który niegdyś czuł do niej, szybko ustępował, za to tem chętniej przypominał sobie owe chwile, kiedy jeszcze łudził się i wierzył.

— O! czegożbym za to nie dał — nieraz westchnął — gdyby z tej choroby mogła powstać inna, zmieniona, z tem uczuciem, którego pragnąłem, z tem sercem, którego szukałem! O! Boże zrób cud, ale daj moim dzieciom prawdziwą matkę!

Tak mijały długie tygodnie...

Na dworze tymczasem zrobiło się zimno przejmujące, deszcz listopadowy wiatrem północnym rzucany, uderzał o szyby, głuche z nich tony wydobywając i fala na jeziorze wysoko się podnosiła, w piecach strzelało drzewo sosnowe, we wszystkich pokojach szczelnie zamkniętych było wprawdzie ciepło lecz ponuro i smutno.

Chora miała się już znacznie lepiej. Siostra dotąd nie poznała jej, w pokoju bowiem było zawsze ciemno, prócz tego Antosia nigdy do niej nie mówiła, zostawiając to swojej towarzyszce. Gdy się jej już o tyle polepszyło, że mogła na łóżku siadać, patrzeć i rozmawiać, Antosia natychmiast do klasztoru wróciła. Krzyk i płacz dzieci w tym dniu wszystkim serca rozdzierał. Ojciec widząc ich szczere przywiązanie do ciotki i nieudaną boleść sam z niemi płakał.

Tego samego dnia przyjechał lekarz. Oglądnąwszy pacjentkę, poszedł do pokoju gospodarza.

— Ze złą nowiną przyszedłem — rzekł.

— Czy jej gorzej?

— Bynajmniej. Zdrowie z każdą godziną odzyskuje, jeżeli się nie przeziębi, żyć będzie sto lat, ale twarz wyjdzie z tej kampanji bardzo zeszpecona. Robiłem co mogłem nie moja jednak wina, że się nie udało.

Pan Miliński ręką machnął.

— Niech wygląda jak maska — odrzekł. — Ja jej z pewnością ani mniej, ani więcej nie będę za to kochał.

I zaraz w duchu dodał: — Oby choć to ją zmieniło.

Od tego dnia pani Eleonora rozmawiała chętnie z tymi co ją otaczali. Wypytywała o dzieci, matkę, służbę, gospodarstwo, sąsiadów, raz czy dwa wspomniała nawet o Antosi, ale chociaż na pozór wszystkiem się interesowała, wszakże w głębi duszy miała tylko rzecz jednę, która ją głównie zajmowała, a tą była jej piękność. Przy każdej sposobności, wśród każdego dyskursu, budziła się nagle jakby ze snu przykrego i wtedy zawsze pytała:

— Powiedźcie mi, co mówił lekarz, nie będę ja ze szpecona?

Mąż, zakonnica, służba, wszyscy ją upewniali, że o tem nawet myśleć nie potrzebuje, ponieważ tak samo jak u jej dzieci, ospa na jej twarzy najmniejszego śladu nie zostawi po sobie, ale widocznie jej to nie uspokajało, skoro po kilkanaście razy na tydzień wracała do tego przedmiotu.

Mąż kazał jednej nocy usunąć z jej pokoju zwierciadło, które stało na gotowalni. Zauważyła to zaraz nazajutrz i śmiertelną trwogą zdjęta, zapytała męża, dla czego to uczynił.

— Wiedząc jak jesteś wrażliwa Eleonoro, nie chciałm byś teraz nim całkiem twarz się złuszczy, oglądała się w zwierciadle... Całkiem spokojnie będziesz to mogła uczynić dopiero za dni kilka, gdy ciemne plamy zupełnie z twarzy ustąpią.

Nie musiała uwierzyć, skoro od tego dnia zwiększył się jej niepokój i jeszcze częściej niż dawniej wracała do tego przedmiotu. W kilka dni poprosiła siostrę miłosierdzia żeby jej do łóżka przyniosła jakie zwierciadło, gdy ta odmówiła, zasłaniając się męża zakazem, okiem błysnęła gniewnie i usta zacięła. Tego dnia więcej o tem nie wspominała. Za to w nocy, gdy zakonnica usnęła na sofce koło pieca, podkręciła najpierw knot u lampy, która przy jej łóżku płonęła, potem wzięła ją w rękę, wyszła z łóżka, pierwszy dopiero raz, odkąd choroba ją powaliła, krokiem chwiejnym, przy tem boso, zbliżyła się do sekretarzyka i wyjąwszy z górnej jego szuflady zwierciadełko podróżne, otworzyła je i do lampy podniosła.

Spojrzała i w tejże chwili głowę cofnęła... W kilka sekund znowu popatrzyła. Tym razem trzymała już twarz przed zwierciadłem długo, bardzo długo, źrenice niepomiernie jej się rozszerzyły, cała fizjognomja wyrażała przestrach i grozę!

— Ach! — krzyknęła, zwierciadło z ręki puszczając.

Zachwiała się na nogach i na ziemię upadła. Jej głos rozpaczliwy zbudził zakonnicę.

— Boże! co się stało! — zawołała.

Pani Eleonora zerwała się z posadzki.

— Oszukiwaliście mnie! Oszukiwali! Jam straszna! przerażająca! Boże! Boże! za cóż mnie pokarałeś! Ja nie chcę ludzi straszyć! nie chcę!

Z temi słowy rzuciła się do okna. Zakonnica wyskoczyła z posłania zatrzymała ją szczęśliwie w chwili, gdy dopiero wewnętrzne okno otworzyła.

— Co pani robisz? Przeziębisz się, zginiesz?

— Ja nie chcę żyć, ja chcę zginąć! Tam w jeziorze, dla mnie miejsce! Puść mnie kobieto puść!

— Nie puszczę! Zlituj się pani, jeźli już nie nad sobą, to nad mężem, nad swojemi dziećmi!

— Ja ich nie chcę straszyć, nie! Puść mnie kobieto!

Zaczęło się pasowanie. Zakonnica chorą w pół trzymając, od okna gwałtem ją odciągała. Pani Eleonora natomiast chciała koniecznie jeszcze drugie okno otworzyć. Widząc jednak, że jej się to nie puwiedzie oderzyła oburącz w szyby, i te z dźwiękiem na dwór wypadły.

Do pokoju wpłynęły dwie szerokie strugi lodowatego powietrza.

— Jezus Marja! Pani się zabijasz! — zakonnica na cały głos krzyknęła... Ratunku! Ratunku!...

W pokojach pobocznych dało się słyszeć trzaskanie drzwiami i kroki przyspieszone. Pierwszy wpadł mąż, za nim służąca jedna i druga.

Przyskoczył do okna, chwycił żonę wpół i na łóżko ją odniósł.

— Kobieto, co ty robisz, kobieto?

— A czemuście mię oszukiwali, czemu? Jabym już była dawno nie żyła!

To powiedziawszy wybuchnęła głośnym płaczem.

Mąż przerażony posłał natychmiast po lekarza. Przyjechał dopiero rano, bo był u chorego. Panią Eleonorę zastał już w gorączce. Wziął ją za puls i zrobił minę nie bardzo pocieszającą.

— Cóż mi powiesz, konsyljarzu? — mąż zapytał.

— Jeszcze sam nic wiem... Za kilka godzin powinnaby się choroba zdeklarować. Jeżeli w skutek przyziębienia przyjdzie tyfus płucowy, nie mam dla niej ratunku.

Mąż nic na to nie odpowiedział, tylko natychmiast pchnął konnego posłańca do urzędu telegraficznego. W trzech depeszach wzywał na konsuljum tyluż najsławniejszych lekarzy z Poznania i Wrocławia.

Spodziewał się że przyjadą pociągiem wieczornym, i tak się stało. Zebrali się razem, opukali i obsłuchali chorą, poczem zgodnie orzekli, że oba skrzydła płuc tak są zaatakowane, że o jej ocaleniu nawet mowy być nie może.

A więc kończył się ostatni akt smutnego dramatu, w którym on i ona byli głównymi aktorami i widzami. Co się w tym dworze czerwonym przez sześć lat działo, o tem prócz ks. Błażeja i Antosi, ponoś dokładnie nikt więcej nie wiedział...

Dnia następnego odzyskała przytomność. Przy niej siedział mąż, w nogach łóżka stała zakonnica. Tej drugiej dała znak ręką, żeby się oddaliła.

Henryku! — przemówiła głosem niskim, bez dźwięku — jak umrę każ mnie zaraz złożyć do trumny i wieko przybić... Ja nie chcę nawet po śmierci nikogo straszyć...

— Eleonoro! co mówisz! Przecie ty będziesz żyła!

— Nie! nie! ja żyć nie będę, ja żyć nie chcę! Przebacz mi, jeźlim nie była taką, jaką może chciałeś mnie mieć, ale wierz mi, żem nie winna...

— Ja ci przebaczam, przebaczam żono! i nawzajem błagam cię, byś i mnie wszystko przebaczyła.

Nic nie odpowiedziała, tylko jego rękę silniej uścisnęła i do swoich ust ją poniosła.

Schylił się nad jej głową i zaczął ją całować a łzy jego gorące, obfite, twarz jej zlewały.

ZAKOŃCZENIE.

Upłynął rok.

Na mogile ks. Błażeja kwiaty kwitną, trawa się zieleni, a krzyż żelazny ze złotym Chrystusem, który błogosławi rozpiętemi ramionami grobowi cichego pracownika, świadczy o pamięci wdzięcznych parafian, którzy ze składek wznieśli ten pomnik ukochanemu proboszczowi.

Obok widać grób inny, a także świeży. Na nim płacze niewiasta, tuląca do swej piersi dwoje małych dziatek. To grób pani Eleonory Milińskiej.

Jancia i Staś były tu już kilka razy z ojcem Zawsze przynosiły w rączkach duże bukiety z żywych kwiatów, które na grobie składały, bo ich mamusia, co teraz jest u Bozi, za swego życia kwiaty bardzo lubiła.

Nim pójdziemy do dworu, musimy, cmentarz opuszczając, wstąpić w pierw do wsi, bo i tam mamy znajomych.

Wojciech Żołędział ciągle łowi ryby, a że Jasiek gorliwie mu teraz pomaga, przytem szpencer zrzucił i kapotę ubrał, więc stary lepiej wygląda, nawet odmłodniał. Silberowi, który przy każdej sposobności dotąd mu powtarza, że jest jego «szczerym przyjacielem» oddał dług do feniga, a chociaż gdy to już uczynił, przez całe dwa tygodnie gryzł się niezmiernie i mało jadł, to jednak o tem więcej nie myśli, bo ma nadzieję, że przy pomocy syna odbije co stracił. Wojciech nie miałby teraz może żadnego zmartwienia, bo i panu Milińskiemu w ostatnich czasach bardzo się polepszyło, co rybaka wielce cieszy, gdyby nie ciągłe z żoną utarczki i nie ta przeklęta tablica za wsią, na której stoi wyraźnie, że polski i katolicki Trzciniec nazywa się po niemiecku i luterjańsku Schilfdorf. Gmina pukała już w tej sprawie do różnych instytucyj, ale bezskutecznie. Teraz Żołędziak wziął na kieł i na ostatnim kółku zapowiedział w obecności dziedzica, że lada dzień zabiera z sobą na swój koszt jeszcze dwóch wieśniaków i pojedzie z nimi aż do Berlina, by tam prosić o pomoc i opiekę posłów polskich. W ostateczności gdyby i to niepomogło, pójdą do cesarza.

Maryna której szczęśliwie upiekła się awantura z profesorem, bo ten zachował ją w tajemnicy, kłóci się jak dawniej. Ale teraz nie sam tylko mąż przed nią na jezioro ucieka. Odkąd przekonała się, że «chłop za chłopem zawsze ciągnie» bo «kruk krukowi oka nie wykole» poczytuje Jaśka tak samo za swojego wroga, jak Wojciecha. Niedawno temu zapowiedziała, że gdyby Jasiek ożenił się kiedy, czego ona zresztą bardzo pragnie, to pod żadnym warunkiem nie przyjęłaby jego kobiety do swego domu, bo ona z taką pogańską familją bałaby się spać pod wspólnym dachem. Maryna jest więc taka sama jaka była przed rokiem i tylko w tem jednem się zmieniła, że już nikogo ze swojej rodziny nie namawia by Niemców naśladował i sama słów niemieckich strzeże się jak grzechu.

Pan Miliński po śmierci żony wziął bonę, osobę starszą, ale dobrą i ta zajmuje się jego dziećmi. Hrabina otrzy-

mawszy wiadomość o śmierci córki, napisała niezwłocznie list do zięcia aż na sześciu ćwiartkach, który był jednym wykrzyknikiem i jedną łzą, gdyż prawie każde słowo było w nim zatarte.

Antosia przebywa dotąd u sióstr miłosierdzia. Wprawdzie nie złożyła żadnych ślubów, ale tak jej tam zaciszno, tak spokojnie, że do innego życia nawet nie tęskni. Regularnie co tydzień, szwagier odwidza ją ze swemi dziećmi, i wtedy w klasztorze, taki jest gwar, tyle śmiechu i wesołości, że aż inne siostry do Antosi się zbiegają, by nacieszyć oczy i serce rozweselić pustotą tej dziatwy rozkosznej. Dzieci cieszą się więc i śmieją jak długo przy niej, ale płaczą, gdy już odjeżdżają. Wtedy przychodzi do niej to jedno, to drugie, patrzy jej w oczy i pyta:

— Cieciu kiedy ty do nas przyjedziesz?

Na to jej oczy zawsze łzami się napełniają, zwiesza głowę i milczy.

Niedawno temu, pan Miliński znajdował się w okropnem położeniu. Oto okazało się że choćby nie wiedzieć jak się starał, nie byłby wstanie oddać baronowi sprzedanej ilości buraków. Kiedy nad tem się zastanawiał, czy nie byłoby lepiej już teraz szukać kupca na Trzciniec, aby choć coś ocalić niż dalej walczyć bez widoków powodzenia i wśród walki wszystko stracić, otrzymał w Galicji list tej osnowy:

»Najdroższy Henryku! Wiwat św. Florjan! Akt detaksacyjny zwalony! Jak tylko wiadomość o tem doszła do tych, którzy Babice chcieli odemnie kupić, zaraz mi ofiarowali o 25,000 więcej. Jechałże was sęk! pomyślałem. Dajesz 25, dasz pewnie 50 I tak się też stało. Przedtem psubraty myśleli, że pod grozą licytacji wezmę co bądź, ale jak tylko się przekonali, że św. Florjan dopisał, dzięki czemu nawet za 10 lat żydy nie zabraliby majątku, zaraz im się w głowach rozjaśniło i dali pełne 300,000 guldenów. Może trzeba było jeszcze czekać i targować się, ale jakem sobie przypomniał, że to pieniądze nie moje, tylko Twoje, mój słodziutki Kochasiu, bom Ci przecie wszystko oddawna zapisał i że ty tam musisz być ze swemi burakami w ogromnych obertasach, tak natychmiast targu dobiłem. Dziś jeszcze poszlę Ci przez bank 30,000 tysięcy, a resztę sam przywiozę. Zapłać temu długiemu Prusakowi wszystko do grosza, niech drapichrust nie ostrzy sobie zębów na polską ziemię, bo i tak my ich z niej wszystkich kiedyś wypędzimy, a brata jego ucałuj odemnie, bo chociaż to archeolog i uczony, zawsze więcej wart niż wielu innych. Zanim przyjadę do Ciebie, daj tam na mszę do św. Florjana, dobrzeby było gdyby ją mógł odprawić ów porządny misjonarz, co to szwabów tak doskonale wywiódł w pole (gdym to moim sąsiadom opowiadał, kładli się ze śmiechu) westchnij także na moją intencję, żebym szczęśliwie wysiadł w Lesznie i nie zajechał znów aż do Poznania, a nim to wszystko nastąpi przyjm wpierw mój słodziutki Kochasiu najserdeczniejsze uściśnienie od Twego szczerze Cię kochającego wuja, Tadeusza Bielskiego.«

Pan Miliński byłby się prędzej śmierci spodziewał niż pomocy z tej strony. On był pewny, że wuj wszystko stracił a tylko się łudzi. Tymczasem ułuda zmieniła się w przyjemną rzeczywistość, bo oto przysłał mu pieniądze, któremi mógł pięknie długi pozapłacać. I uczynił to natychmiast, ku wielkiemu zdziwieniu barona Maurycego a przerażeniu Silbera, który w duchu sobie powiedział, że musiał się już chyba bardzo postarzeć, skoro naraz wymknęły mu się aż dwa pewne interesa. Wszak nie wyłaszczył ani Żołędziaka ani Milińskiego i na żadnym z nich nie zarobił tyle, ile się spodziewał. Baron Fryderyk przestał myśleć o Trzcińcu za to nie wątpi, że już kupi Ujście leśne, hrabiowie bowiem po balu wyjechali do Berlina, gdzie jeszcze więcej pieniędzy potrzebują.

Pan Bielski dotrzymał słowa i właśnie wczoraj do Trzcińca przyjechał. Gdy się witał z siostrzeńcem i jego dziećmi spłakał się jak bóbr i z góry zapowiedział, że już do końca życia nigdzie się ztąd nie ruszy.

Dziś jednak rano zrobił uwagę, że dom jakoś bardzo osowiał. Na to Henryk żywo zawołał:

— O! jeżeli tylko wujaszek chce gwaru i wesołego «komersu» możemy go mieć bardzo. Właśnie przed kilku dniami otrzymałem list od teściowej, w którym pozwala mi się domyślać, że ponieważ wszystko straciła, więc bardzo chętnie przyjechałaby do mnie na na stałe mieszkanie.

— A jechałże ją sęk z taką propozycją! — szlachcic zawołał. — Daj jej co możesz, jeżeli będzie potrzeba, odstąpię to nawet, com sobie na cygara wymówił, byle ona się tu nie pokazywała. Jak ją sobie przypomnę, robi mi się od razu i zimno i gorąco.

— Niech się wujaszek nie lęka, ja myślę tak samo. Dam co będę mógł, a ona niech mieszka gdzie chce, byle mnie nie uszczęśliwiła więcej swoim «komersem».

— Pięknie mój słodziutki kochasiu! prześlicznie!

I w uniesieniu siostrzeńca po dwakroć ucałował.

— Tatusiu! a kiedy pojedziemy do cioci? — zapytała Jańcia, zatrzymując się z braciszkiem przed ojcem.

— Niezadługo dzieci...

— Czy ta dziewczyna myśli doprawdy zostać zakonnicą? — pan Bielski zapytał.

— Nie wiem więcej nadto, com już wujowi powiedział.

Szlachcic zaczął wąs kręcić. Potem spojrzał ukosem na siostrzeńca, na jego dzieci i rzekł:

— Czy ty sądzisz kochasiu, że ten drobiazg bez niej nie wychowasz?

— Będę musiał.

— Będziesz musiał... Jechałże cię sęk z taką odpowiedzią. Wychować jak bądź, a dobrze, to wielka różnica. Ja cię tam mój chłopcze nie chcę do niczego namawiać, bo przecie masz swój rozum, ale zdaje mi się. że choćbyś nie wiedzieć gdzie i jak długo szukał, nie znalazłbyś dla nich lepszej matki.

— I jam tego zdania, wujaszku.

— Skoroś tego zdania, to czemu o tem nie myślisz.

— Zostawmy to czasowi.

— Czasowi zostawić? Ciekawym na co czasowi panny? Alboż to on kawaler lub może młody wdowiec?! No, no, chłopcze spiesz mi się, bo ona doprawdy gotowa jeszcze jakie głupstwo palnąć i śluby złożyć, a wtedy klamka na wiekiby zapadła. W tym domu smutno jak w klasztorze, tu gwałtem potrzeba tej poczciwej duszy.

Pan Miliński milczał, ale twarz jego jaśniała uśmiechem zadowolenia.

— Tatusiu, tiedy do cioci pojedziemy? — tym razem synek go zapytał.

— No powiedz mu Henryku, że jutro, bo inaczej ja pojadę i sam cię oświadczę.

— A więc jutro dzieci, jutro!

To powiedziawszy, rzucił się na szyję wujowi i chwilę tak oba stali, niemym uściskiem złączeni.

KONIEC.

Pisałem w Nowem Siole pod Stryjem,
W marcu i kwietniu r. 1884.

August Szenoa.

Z CYKLU POEZYJ: „BARWINEK."

KWIAT.

Więdnij, kwiatku, już śnieg pruszy,
Zima sroga tchnęła chłodem!
Ach! mrok zapadł i w mej duszy,
I me serce ścięte lodem.

Konaj, słońce! Twa korona
Zniknie wkrótce za wyżyną.
Ach! tak złoty sen mój kona,
Młode złote dni me giną.

Gaśnie święta skra zapału,
Na mem niebie blodną zorze
I sam kopię grób pomału,
A w nim własne serce złożę.

Nie żądałem marnej chwały,
Pieśni moich fałsz nie plami,
Bo jęk serca powtarzały
Struny lutni mej przed wami.

Jam w swe pieśni prawdę wlewał,
Bo mną wyższa rządzi siła.

Bo gdym tylko pieśń zaśpiewał,
Pieśń świątynią dla mnie była.

A w mej duszy zajaśniały
W złotym blasku widma rojem,
Zrodziły się burze, szały,
Co miotają sercem mojem.

I nad światem bujać chciałem
Swemi skrzydły potężnemi,
Ale w locie je złamałem
I los przykuł mię do ziemi.

I dlatego skra zapadła
Gaśnie, bledną moje zorze,
Grób otwiera się pomału,
A w nim własne serce złożę.

I dlatego — milcz, ma pieśni!
A gdy legnę już w mogile,
Ty z grobowej wyjdziesz cieśni
W nieśmiertelnej życia sile.

Z chorwackiego przełożył J. NITOWSKI.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego.“

(Dokończenie)

Ema nie płakała, boleść jej była spokojna, był to raczej smutek cichy, w obec tego rozwiązania wszech rzeczy ludzkich, które się kończyć muszą boleścią, zanim rozpadną się w proch i nicość. Od dawna już zaczęła szukać ulgi dla swych cierpień, rozczarowań, zawodów i bolów w religii — czerpała ukojenie i rezygnacją we wzorach wielkich boleści i boskiej siły tego, który cierpienie podniósł z pogardy, jaką otaczał je świat starożytny — aż do ideału przyświecającego pochodowi tylu wieków; który stworzył tę filozofją przedziwną, mistyczną a szczytną i wkazał cierpienie i boleść: kochać miłować, jako największe dobro na ziemi.

Zawiedziona w miłości do ludzi, Ema poszła tą drogą, jaką obrało tyle kobiet, przez tę potrzebę kobiecego serca, które wiecznie musi mieć przedmiot miłości i uwielbienia — młoda kobieta rzuciła się z całym zapałem do tego zdroju nauki Chrystusowej, lecz jak często kobiety, nie mogła i ona objąć całej jego wielkości szczytnej; brała zeń tylko to, co przemawiało do zmysłów, do własnych jej przekonań — serce jej zasklepiało się zwolna w tych rozkoszach mistycznych, stając się coraz mniej wrażliwem na bóle i ciernie życia.

Wysoka, sztywna w ciemnych sukniach, z zamyślonemi oczyma przeszła pokój i wzięła klucze z koszyka. W kącie pokoju stał kufer pełen papierów Szczerby; on sam ułożył je gdy wyjeżdżali z Wiednia, później wożono go z sobą po wszystkich miejscowościach, które zwiedzali, aż wreszcie przybył tutaj z nimi. Oddawna zamierzała przejrzeć te papiery przeczuwając, że zawierają jakąś tajemnicę. Otworzyła kufer, uklękła przy nim i mimo odrazy, jaką wzbudzało w niej to zajęcie, zanurzyła ręce w stosy nagromadzonych bibuł. Wyjmowała pliki papierów ciężkie, zapylone, cuchnące pleśnią jedne po drugich i przeglądając starannie układała je na podłodze i stole. Były tam gęsto zapisane kartki ostatniego, rozpoczętego dzieła Szczerby, bruljony mów parlamentarnych i zapiski z dzieł przeczytanych. Obok listów wierzycieli i rachunków sklepowych, roczniki gazet powiązane sznurkami, których woń przykra drażniła delikatne jej nozdrza — potem następowały księgi zawierające bilans rachunków; czytała je uważnie, długo, o ile z nich wyrozumieć mogła, suma posagowa nie istniała oddawna, żyli miesiące, lata całe — kredytem, albo z chwilowych zysków ciągnionych z różnych przedsiębiorstw – znowu obracała karty, przerażały ją te ogromne cyfry pod rubryką „debet“, wzrastające coraz bardziej. Później zostało to wszystko nagle zapłacone. — Gorąco paliło jej twarz. upadała ze zmęczenia, ręce jej pokryły się grubą warstwą brudu, zczerniały uwalane w kurzu tych starych papierów i bibuł, lecz mimo okropnego zmęczenia i coraz bardziej przejmującego ją wstrętu, nie porzucała tej pracy odczytując w szeregach tych cyfr nieskończenie długich—dramat który się w ich życiu rozegrywał.

Strudzona, z wypalonemi policzkami, tracąc oddech prawie, zanurzała znowu obie ręce we wnętrze kufra który ciągle jeszcze wyrzucał z siebie stosy papieru i nie chciał się wypróżnić jak bajeczna beczka Danaid, wiecznie ciekący tym szarym strumieniem zapisanej bibuły i cuchnącego kurzu. Znalazła w osobnej tece rachunki przedsiębiorstwa kolejnego, w które włożono trzydzieści tysięcy — był to więc cały majątek jej i dziecka, jeśli się nie okażą nowi wierzyciele i nowe długi. Nagle stanęła przy świetle lampy wyprostowana z oczyma utkwionemi w plik papierów, który wyjęła prawie ze spodu kufra. Rozerwała jeden po drugim, czytała, rzuciła na stół, znowu czytała. Oburzenie odbierało jej przytomność, ręce drżały konwulsyjnie z piersi wyrwał się jęk głuchy.

Były to papiery Liczki związane razem z podaniem napisanem ręką Szczerby.

— Straszna jasność rzucająca się jej nagle w oczy olśniła ją, odurzyła — nie mogła uwierzyć w rzeczywistość faktu i czytała znowu, podnosiła ku światłu ten nowy dowód zbrodni! Zgięła się prawie pod brzemieniem zbrodni, wstydu, który spadał na nią i na jej dziecko a myśl że nie jest w stanie wynagrodzić tej krzywdy, zatrzeć zmazy, zmroziła krew w jej żyłach.

— Lecz nie! — powiedziała głośno, cóż mnie obchodzi ten człowiek, który mnie nawet nie kochał, który i mnie skradł, wziął podstępem, jak wszystkie inne, co zdobywał w życiu. Nie, nie, śmierć zerwie węzły które mnie z nim łączyły.

— Nie mam nic wspólnego z tym człowiekiem..

W kącie stara Szczerbowa na ten wyraz: śmierć — zerwała się. Jakto, przecież on żyje jeszcze, któż mówi o tem, aby go śmierć czekała tak blisko?

Ema wyprostowała się i obróciła dumna, jakby ten cios nowy bardziej jeszcze wyprężył jej muszkuły i zahartował serce. Olek zbliżył się do niej ze śmiechem, ale odepchnęła go, zdjęta mimowolnym wstrętem do tego dziecka Henryka Szczerby. Chłopiec wybuchnął płaczem, a staruszka wyciągnęła machinalnie ku niemu obie ręce, aby te łzy utulić.

— Nie dotykaj go pani! — krzyknęła teraz Ema stając między starą Szczerbową a dzieckiem i zdjęta oburzeniem, dumna czystością swego rodu i prawością własnego życia, które potrafiła ustrzedz od zmazy, z nieubła-

ganą surowością cnoty, rzuciła papiery pod nogi starej, zdoławszy wymówić te słowa: Kradł! jaka hańba! Kradł! Twój syn!

Zasłoniła swem ciałem Olka, jakby w obudzonej na nowo miłości macierzyńskiej, lękała się dla niego dotknięcia tej staruchy, której ręce skalane może, splamione brudem, mogłyby dotknąć zarazą występku i żądz złych czystą duszę dziecka

— Nie dotykajcie go.. wy.. wy... wszyscy.... on kradł kradł... złodziej... słowa przeciskały się z trudnoś ią przez jej gardło, padały z sykiem takim, a rękami wyciągniętemi broniła przystępu do Olka Zanim oprzytomniała, zanim zrozumiała okropność podobnego postępku, starej Szczerbowej już nie było. Pędem wybiegła z domu, gnana straszną zniewagą, którą jej w twarz rzucono i dławiąc się z bólu. Słowa synowej wpakowały się w jej głowę starganą niby kula która nie miała jednak mocy pozbawić życia. — Wszak to nieprawda! — Niech będzie i prawda! On mój, mój syn! — Powtarzała w myśli, biegnąc w kierunku szpitalu, aby syna zapytać, czy prawdą być może, o co go oskarzano Nie widziała ciemności nocy otaczającą ją, nie czuła deszczu, który smagał jej twarz i ciekł z włosów targanych wiatrem. Nieprawda, to nie on, dobry Boże! To nie on, szeptała drżącemi usty — nie nie on! Ja biorę na siebie tę winę!

Nagle przypomniała sobie słowa pacierza i powtarzać je zaczęła raz po raz „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy“ Wreszcie dobiegła do szpitala kostniejącą ręką chwyciła za dzwonek — ale od syna dowiedzieć się już nic nie mogła, nie mogła mu już powiedzieć że jeżeli ta straszna rzecz jest prawdą, to ona weźmie na siebie cały ciężar winy przed Bogiem i ludźmi! Szczerba przed godziną żyć i cierpieć przestał.

* * *

Otóż i koniec pragnień, miłości i błędów ludzkich. Bohaterów tego opowiadania znaliście może sami może nieraz jeden spotkaliście ich w życiu, może kochali nawet.

Stara Szczerbowa żyje jeszcze i modli się — pochyliła się ku ziemi wpół zgięła, jakby prosiła jej o wieczne w niej schronienie i spoczynek, a ziemia jej niechce,

Ema powróciła do rodziców; nie szuka już, ani pragnie miłości, kocha tylko swego syna, któremu powtarza surowe zasady życia i za wzór stawia niedościgniony ideał Chrystusa. Czy chłopiec uwierzy jej i pójdzie śladem tych nauk, przyszłość pokaże.

Pani baronowa daje jak dawniej herbatę w żółtym salonie a zbierające się u niej towarzystwo prowadzi w dalszym ciągu dyskusje przerywane chrupaniem sucharków i cukierków. Baron ożeniwszy Kazia i Leandra wesół jest, je z apetytem i pije dobre wino, utyskując czasem nad przedwczesnym zgonem Szczerby, który przy takich zdolnościach dojść mógł wysoko. Są tacy, którzy nie podzielają tego zdania i zaliczają jego i jemu podobnych do rozkładowych żywiołów społeczeństwa, które niszczą i rozbijają w nicość to, co zapracują inni w pocie czoła. Obawy Emy, ażeby ktoś świadomy sprawy powierzonej Henrykowi przez przyjaciela, nie zgłosił się a tem samem tajemnicy nie wywlókł na światło dzienne, były płonne. Liczko oprócz jednej robotnicy Mary, nie zwierzał się nigdy z swych planów nikomu. Mogiłę jego trawa zarasta — prywata pożarła plon jego trudów, abnegacji, wysileń pracy całego żywota. Nie pozostało nic z całej sumy uzbieranej tak krwawo oprócz czterech dolarów w złocie, które Ema złożyła w ręce ubogich. Wierzmy jednak, że nie zginęła marnie praca tego człowieka, że życie to zaważy na szali sprawiedliwości i starczy za posiew; rozkrzewi się bujnie w liczny zastęp podobnych jemu ludzi.

Nihil sub sole pereat.

K O N I E C.

Pogawędka w sprawie kobiecej.

— Tak łaskawa pani, zgadzam się z Orzeszkową dwunaście córek, dwanaście katedr, a przynajmniej dwanaście dyplomów uniwersyteckich.

— Zachwycona jestem gracją i dystynkcją córeczki pani, którą tak dyskretnie wyprawiłaś z salonu, ażeby się nie zgorszyła naszą rozmową, ale pozwolę sobie zapytać się, ile też łaskawa pani przeznacza posagu dla swej jedynaczki?

— 25,000 złr a po naszej śmierci...

— To jest drugie tyle. Wobec tej cyfry nie dziwię się wcale i tylko zazdroszczę łaskawej pani że sobie możesz pozwolić na taki zbytek, jak domowe wychowanie córki. Pani się uśmiechasz i kręcisz głową z niedowierzaniem, lecz przysięgam pani, że ideałem moim jest właśnie wychowanie dziewcząt domowe. Lecz niestety! nie każdemu wolno o niem marzyć, a dlaczego zaraz to łaskawej pani wytłumaczę.

Przeznaczeniem kobiety jest zostać żoną i matką; będąc dobrą żoną i dobrą matką, spełnia ona obowiązki swe względem społeczeństwa. Bardzo pięknie, ależ dlaczegoż to, przeznaczenie pozwala, ażeby wskutek przewyższającej liczby kobiet *) prawie połowa zostawała staremi pannami? Dlaczego to samo przeznaczenie pozwala iżby taka masa wdów obarczonych rodziną, zostawała bez opieki? Chroniąc więc córki nasze przed tem niespełnionem bardzo często przeznaczeniem, musimy zmienić kierunek ich wychowania

Dziś nie możemy córek naszych chować li tylko na żony i matki, gdyż zaledwie połowa ich zajmuje to stanowisko, a i ta połowa w wielu wypadkach postawiona jest w rozpaczliwem położeniu wskutek śmierci lub kalectwa swych mężów! Nie mówiąc już o wykształceniu, które kobiecie na każdem stanowisku jest niezbędnie potrzebne, dzisiaj każda z młodych dziewcząt powinna być fachowo wykształcona i tylko w takie posagi dla nich wierzę, których, jak to mówią, ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze. Na poparcie zaś słów moich pozwolę sobie przytoczyć przykład, wzięty z życia.

Pewne bardzo idealne, bardzo kochające się małżeństwo pobłogosławił Pan Bóg jedyną córeczką. Radość ich była bez granic, w dziecku tem widzieli oni świat cały...

Można się domyślić, że dziecina ta była otoczoną nadzwyczaj troskliwą opieką: nie mam tu na myśli nadzwyczajnych pieszczot i dogadzań małej jedynaczce, ale wychowywała się ona w atmosferze tak idealnie czystej, że

---

*) W r. 1871 przewyżka kobiet nad mężczyznami wynosiła w Anglji 628 302. W Prusach, na 7,165,000 mieszkańców, jest 148,000 więcej kobiet, aniżeli mężczyzn. W Austrji, podług spisu ludności, w r. 1869 zarządzonego, okazało się na 20 217,551 mieszkańców 9,814,058 mężczyzn, a 10,403,493 kobiet W Królestwie polskiem podług spisu ludności z r. 1863, ludność jego wynosiła 3,986,230, w tej liczbie płci męskiej 2 403, płci żeńskiej 2,582,455, zatem tej ostatniej więcej o 178,680. *Przyp aut.*

prawdziwie żaden powiew wiatru nie doszedł do niej. Gdy podrosła, matka wraz z ojcem byli jej nauczycielami, a że oboje byli to ludzie bardzo wykształceni, rosła więc dzieweczka w otoczeniu tego wszystkiego, co nauka i sztuki najpiękniejszego mają.

Doszedłszy 16-tu lat, w tak piękny pączek się rozwinęła, że wkrótce znalazł się amator na ten cudny kwiatek, a ponieważ był to chłopak zacny, uczciwy i wykształcony; nie zwlekając więc długo, powierzyli skarb swój jedyny w ręce młodzieńca i nie żałowali tego.

Otoczył on swoją młodą żonkę miłością, z czcią niemal graniczącą, że matka jej nieraz z trwogą powtarzała: „Czy nie zawiele szczęścia dla dzieciny mej, o Boże!...“

Wkrótce rodzice pomarli, błogosławiąc swe dzieci i wnuki, których spora gromadka otaczała ich śmiertelne łoże. Została więc ich jedynaczka smutna, ale nie rozpaczająca, gdyż miała obok siebie męża i trójkę dzieciaków, które były jej pociechą.

Lecz nieszczęście samo nigdy nie przychodzi.

W rok po śmierci rodziców, po krótkiej chorobie, umarł mąż naszej bohaterki i oto nagle znalazła się z kilkorgiem dzieci bez środków do życia.

Wysoko wykształcona, rozpieszczona, nieoswojona z ciężkiemi warunkami życia, które jej rodzice, a później mąż usuwali z drogi, kobieta ta szalała z bolu, rozpaczy i przygnębienia wskutek nowych warunków życia, w jakich się znnlazła. Wykształcenie jej, choć bardzo gruntowne, na nic się nie zdało, gdyż kształcąc się w domu, nie posiadała urzędowych patentów; ochranianie od zetknięcia się ze światem było przyczyną niewypowiedzianych męczarni, które jej stosunki z ludźmi zwykłego pokroju sprawiały. Zanadto dumna, ażeby udać się o pomoc do dalszej rodziny, zmarła biedaczka na suchoty, osierocając dzieci, które litościwi ludzie rozebrali.

Oto jest przeciętny obraz losu naszych kobiet!...

Wychowujmy więc dziewczęta nasze inaczej, praktycznie, fachowo, niech każda z nich na drogę życia weźmie fachowe wykształcenie, dające jej możność utrzymania siebie i rodziny. Być może, iż takie wychowanie pozbawi dziewczęta tej trochy iluzji, jaką otaczać się zwykły, ale czyż nielepiej, że tę iluzję zdejmie kochająca ręka matki, niż brutalna dłoń świata.

Nie lękajcie się, że nauka odbierze kobietom wiarę. O, nie! trochę nauki oddala od Boga, wiele doprowadza do niego!

Kwestja wyższego wykształcenia kobiet nie jest nowością; dowodem katedry profesorskie we Włoszech w XVI i XVII wieku, zajmowane przez kobiety.

W Bononji w XVI wiekn Novella D'Andrea wykładała prawo, a w XVII Laura Bassi matematykę i fizykę, Marrolini zaś anatomję porównawczą.

O Agnieszce Gaetani z Medjolanu, która posiadała bardzo rozległe wiadomości z fizyki i matematyki, opowiadają, że była bardzo skromną i łagodną kobietą i z przykładną umiejętnością zarządzała znacznem gospodarstwem.

Nie lękajcie się więc matki, ażeby nauka odebrała córkom waszym wdzięk kobiecy i zamiłowanie do zajęć czysto kobiecych — ona tylko dobrze może zrobić, gdyż odbierając nadmiar marzycielstwa młodym dzieweczkom, uchroni je nieraz od fałszywych kroków w życiu.

Ala.

KOCHLIWY.

Ściska jej rękę w pierwszym kadrylu
Przy walcu szepcze coś z cicha,
Patrzy z pod oka na nią w profilu,
Patrzy i patrzy i wzdycha.
Jutro z wizytą przyjdzie na pewno
I będzie prawił nieśmiało,
Że marzeń jego była królewną,
Ideał ubrany w ciało!...

Z bukietu uszczknie kwiat pokryjomu,
Z wachlarzem czule się pieści,
Na straży staje przy drzwiach jej domu
Z miną od siedmiu boleści,
I tęskne rzuca w okno spojrzenia
I wzrokiem ściga ją zdala
I czoło chmurzy, w oczach się zmienia —
Istny sobowtór Tantala!...

Pragnąłby uschnąć tam na jej progu,
Jak kwiat zdeptany w ciemmości,
Lecz nie usycha, bo dzięki Bogu,
Choć zakochany — nie pości,
A choć przysięga, że się zabije,
W rozpaczy życie swe skróci —
Z dnia na dzień jakoś żyje i żyje,
Odchodzi!... poszedł!... powróci..

Wróci i znowu, ach! wzdychać zacznie,
I kochać będzie na nowo,
Je z apetytem i sypia smacznie,
Na twarzy wygląda zdrowo,
A jednak, jednak wiecznie narzeka,
Że jest ofiarą miłości,
Że go z tęsknoty marna śmierć czeka,
Że wychudł... skóra i kości!
Że go tyranja serca zabija
I zabić jakoś nie może,
Je samą gorycz, same łzy spija
I na tem... tyje nieboże.

O nie żałujcie, chociażby szlochał
I skargi rozsiewał wszędzie,
On się już dziesięć razy tak kochał
I jeszcze sto razy będzie!

n.

Teatr lwowski.

Opery powińszować sobie nie bardzo możemy. Zaangażowane siły operowe nie mogą mieć pretensyj aby się niemi entuzjazmować. Primadonnie, pani Viviani, o ile można pogratulować bogactwa tuszy, o tyle mniej skarbów głosu. Widocznie pełne kształty rozwinęły się kosztem głosu, lub odwrotnie, gdyż ślady są, iż przed laty musiała pani Viviani posiadać piękny materjał śpiewny. Dzisiaj pozostała tylko dobra szkoła, która nikogo już nie porwie. Tony z pulchnego gardła naszej primadonny wychodzą przytłumione, że się tak wyrazimy, zatłuszczone. Tym zatem nabytkiem, nie mamy powodu się cieszyć.

Tenor bohaterski p Santinelli, chłop jak dąb, posiada głos silny i czysty, ale suchy, drewniany i mimo poprawnego sposobu śpiewania, podbić serca słuchacza nie zdoła. Brak dobrej szkoły wynagradza p. S. komicznymi odruchami ramion.

Barytonem ma być p. Wierzbicki, znany lwowskiej publiczności z dawniejszych lat śpiewak i sympatycznie przez nią widziany. Co do barytonu p. W. można zastosować: „bary są, ale tonu nie ma“.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

„Tydzień powieściowy i literacki". Za dni kilka ukaże się nowe pismo literackie, którego tytuł podaliśmy w nagłówku. Pismo to będzie wychodziło we Lwowie, co tydzień, w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza druku. Firmą wydawniczą jest znana chlubnie w kraju naszym księgarnia pp. *Seyfartha i Czajkowskiego*, redakcję zaś objęli pp. Józef *Rogosz* i Stanisław *Błotnicki*.

Literatura Słowiańska. Niebawem mają się ukazać w handlu księgarskim dzieła sympatycznego naszego pobratymca, Edwarda Jelinka. Treści dostarczyły znakomitemu pisarzowi czeskiemu przeważnie literatura polska dawniejsza i spółczesna.

Konkurs filologiczno-archeologiczny. Przy akademji nauk w Petersburgu ustanowione jest oddawna premjum imienia zmarłego prof. uniw. kijowskiego Kotlarewskiego za dzieło z dziedziny filologji i archeologji słowiańskiej. Dotąd warunki wymagały, ażeby w innych językach słowiańskich drukowane prace, jeśli chcą konkurować o nagrodę, były przełożone na język rosyjski i w tym języku wydrukowane. Obecnie warunek ten zniesiono, stanowiąc iż praca przesłana na konkurs może być napisaną w jakimbądź języku słowiańskim, z tem tylko zastrzeżeniem, iż z dwóch jednakowych wartości prac, nagrodę otrzyma praca, napisana i wydana po rosyjsku.

Redakcję czasopisma ludowego *Niedziela* objął p. Jan Amborski.

Krytyka czeska. W „Athenaeum" czeskiem z d. 15 listopada r. b. znajdujemy recenzję Edwarda Jelinka o dziele Aleksandra Kraushara „Czary na dworze Batorego". Recenzja a raczej referat, jest krótki ale pochlebny. Tamże inny recenzent mówi o znanem dziele p. M. Ursyna o „Słowianofilach". Recenzent przedstawia tylko treść książki, nie wydając o niej sądu, robi jedynie zarzut autorowi, że słowianowilstwo ruskie traktuje zbyt pobieżnie.

Nowe pismo lekarskie w Poznaniu p. t. „Nowiny lekarskie", zapowiada się bardzo obiecująco. Zastęp lekarzy naszych tak się wzmógł, a między nimi tylu jest ludzi pracujących naukowo, że pismo specjalne powinno znaleźć warunki bytu. Zanim to nastąpi, zarząd Tow. przyjm. nauk wyznaczy dla niego stosunkowo bardzo znaczną subwencję, która wprawdzie uszczupli środki materjalne Towarzystwa, ale wzmocni stanowisko naukowe naszych lekarzy.

Teatr i muzyka.

Barytonista p. Borkowski, zaangażowany do opery warszawskiej pożegnał 8 bm. lwowską publiczność koncertem. Śmieszna zaprawdę rzecz. Mieliśmy barytonistę obdarzonego pięknym dźwięcznym głosem i zamienialiśmy go z Warszawą — na p. Wierzbickiego.

Pni Stachowiczowa artystka sceny lwowskiej wystąpiła kilka razy w Krakowie. Krytyka krakowska zachowała się w obec jej występów bardzo surowo.

Sara Bernhard zbierała po Wiedniu, Pradze i Peszcie, laury w Bukareszcie — obecnie zbiera je w Stambule, zkąd uda się do Egiptu. W marcu wystąpi ponownie dziesięć razy w Wiedniu.

Panna Helena Hermanówna została zaproszoną jak donoszą pisma warszawskie na szereg występów do Lwowa.

Jan Reszke znakomity nasz śpiewak odnowił swój kontrakt z dyrekcją opery paryskiej i będzie otrzymywał po 15·000 franków miesięcznie za dziesięć przedstawień.

Kronika powszechna.

P. Stanisław Szczepanowski, znakomity znawca stosunków naszych społecznych, wykonał w Krakowie 9 bm. odczyt pt. „O tradycjach polskich w wychowaniu". O odczyt ten postarało się krak. Towarz. oświaty ludowej.

Towarzystwo św. Salomei mające zadanie wyszukiwać i wspierać istotnie ubogich, zawiązało się we Lwowie.

Z świata akademickiego. Lwowska młodzież akademicka zawiązała nowe stowarzyszenie o celach naukowych. Będzie ono nosiło nazwę: „Towarzystwo słowiańskie" a powstało w miejsce rozwiązanego przez policję „Kółka słowiańskiego". — Młodzież krakowska zaś, nosi się z zamiarem założenia „Domu akademickiego."

Drugą subwencję otrzymał już *Świat* pismo ilustrowane krakowskie. Pierwszą udzielił wydawcy jego Sejm, drugą Towarzystwo krakowskie Sztuk pięknych.

W muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem rozpoczął się 8 bm 2i rok wykładów dla kobiet. Jak wiadomo jest to najlepszy instytut naukowy polski dla kobiet mających zamiar poświęcić się naukom i sztukom wyzwolonym. W muzeum istnieją następujące wykłady: nauk przyrodniczych, histor.-literacki, sztuk pięknych, handlowy i gospodarczy. W każdym wykładają poszczególne przedmioty znakomici profesorowie i profesorki.

Polacy w sejmie pruskim. Do Koła polskiego sejmowego w Berlinie, należą pp.: Dr. Henryk Szuman, Teofil Magdziński, Leon Czarliński, ks. dr. Jażdżewski, ks. dr Stablewski, Stanisław Rożański, Stanisław Motty, Ignacy Zakrzewski, ks. kanonik Neubauer, prof Schröder Józef Grabski, Karol Sczaniecki, dr. Juljan Chełmicki, ks. licencjat Radziejewski i Władysław Brodnicki.

Helquist twórca mającego przybyć do Warszawy rozgłośnego obrazu p. t. „Hus prowadzony na stos", popadł w nieuleczalny obłęd umysłowy. Artysta zamierzał w czasie trwania wystawy swego obrazu odwidzić Warszawę.

Mistrz Jan Matejko przybył do Lwowa, zaproszony przez instytut stauropigjański, celem zwidzenia archeologiczno-bibliograficznej wystawy instytutu. Matejce towarzyszą córki. Mistrz zamieszkał w pałacu przy katedrze ruskiej św. Jerzego, a na wystawie urządzono pracownię dla Matejki na wypadek, gdyby który z przedmiotów wystawy chciał szkicować.

Towarzystwo wzajemnej pomocy członków orkiestry teatralnej, zawiązane w celu wspierania datkami swych członków, tudzież wdowy i sieroty po nich, ukonstytuowało się na dniu 3. bm., wybrawszy prezesem p. Romualda Makarewicza, wiceprezesem p. Karola Langa, skarbnikiem p. Franciszka Fugla, wydziałowymi pp. Józefa Fr...le i Franciszka Krczeka. Majątek zarodowy wynosi przeszło 5000 zł., które nowe Towarzystwo otrzymało od poprzedniego Stowarzyszenia członków orkiestry teatralnej.

Nagroda królewska. Król Oskar szwedzki, wielki miłośnik nauk ścisłych, ustanowił przed czterema laty nagrodę, w postaci wielkiego medalu złotego i 2500 koron w gotówce, przeznaczając ją za najważniejsze odkrycia w zakresie wyższej matematyki. Nagroda ta wypłaconą zostanie w dniu 21 stycznia 1889, t. j. w 60-tą rocznicę urodzin króla. Komitet sędziów stanowią metematycy: Karol Weyerstrass z Berlina, Karol Hermite z Paryża i Mittag-Leffler, profesor młodego uniwersytetu sztokholmskiego. Termin nadsyłania prac, ubiegających się o tę nagrodę, upłynął z dniem 1 czerwca r. b. Nadesłano ogółem 12 rękopisów, z czego 4 w niemieckim, 7 we francuskim i 1 we włoskim języku. Wyrok sędziów ma być w tych dniach ogłoszony. Szwedzka „korona" wynosi więcej nieco, niż niemiecka marka.

Panna Helena Goldszpiegelówna z Warszawy po obronie rozprawy swej na temat „Histerja u dzieci" otrzymała w Paryżu dyplom doktora medycyny i udała się do Petersburga celem uzyskania patentu, poczem zamierza osiedlić się w Warszawie.

Kongres psychologów. Dowiadujemy się z Paryża, że na ostatniem posiedzeniu tamtejszego towarzystwa psychologji fizjologicznej, prof. T. Ribot znany autor o chorobach pamięci i woli, przedstawił projekt zwołania kongresu w przedmiocie psychologji doświadczalnej, podany przed kilku laty jeszcze przez dra Juljusza Ochorowicza, w czasopiśmie *Philosophique.* Wówczas projekt ten wydawał się dzisiejszemu wnioskodawcy i gorącemu jego zwolennikowi niemożliwym do urzeczywistnienia, ale obecnie zmienił zdanie i wraz z kilkanastoma członkami poparł go nader wymownie na posiedzeniu towarzystwa uczonych paryskich. Wniosek, przez rodaka naszego swego czasu postawiony, a dzisiaj wznowiony, został jednomyślnie przyjęty. Na propozycję Richet'a postanowiono zwrócić się do ministra w celu nadania zjazdowi charakteru urzędowego, a do komisji organizacyjnej weszli z wyborów następujący członkowie towarzystwa: prof. Charcot, Ribot, Richet, Taine, prezes akademji Sully-Prudnomo, dr. Ochorowicz, dr. Magnan, prof. Marillier, dr. Glay i dr. Brissaud. Kongres będzie miał charakter międzynarodowy.

Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie: Wydział Tow. Bratniej Pomocy słuchaczów na Wszechnicy Lwowskiej, zawiązał w tym roku podobnie jak w poprzednich latach, komisję informacyjną, której celem jest udzielanie członkom Towarzystwa lekcyj, mundantur i innych zajęć. Wobec tego, że komisja poleca członków kompetentnych a że ci starają się zawsze wywiązać godnie ze swego zadania, może Szan. Publiczność do komisji z całem ufaniem udawać się zaufaniem. Ponieważ ilość kolegów potrzebujących zajęcia jest znaczną, komisja ma do spełnienia zadanie bardzo trudne, a jedynie wówczas będzie mogła odpowiedzieć swoim obowiązkom, jeżeli znajdzie silne poparcie u Publiczności. Spodziewamy się, że odezwa nasza wywrze skutek pomyślny, że w krótkim czasie będziemy rozporządzali taką ilością zajęć, że potrzeby naszych kolegów zaspokoić będziemy w możności.

Zmarli.

† Karol Rogawski b. poseł na Sejm krajowy i do Rady państwa, mąż wielkiej nauki, zmarł w majątku swym w Olpinach w bm. Zbiory dzieł sztuki zapisał śp. R. dla Muzeum narod. w Krakowie. — Walery Rzewuski fotograf krakowski, radca miejski zasłużony około rozwoju Krakowa zmarł tamże w przeszłych dniach bm. Majątek swój zapisał śp. Rz. na cele publiczne, między tymi na założenie szkoły fotograficznej dla kobiet. — Jan Hunfalvy znakomity profesor geografii na uniwersytecie peszteńskim zmarł 6 bm. Najwięcej znanem i cenionem jego dziełem jest „Geografia powszechna". — Równocześnie zmarł i drugi uczony węgierski Emeryk Henszlman znany archeolog i historyk sztuki. — Marek Calogera, biskup ze Spalato, mąż niepospolitej nauki, zmarł 5 bm.

Kazimierz Grocholski, prezes koła polskiego, poseł na Sejm i do Rady państwa, zmarł w Abbazji, dokąd wyjechał dla poratowania zdrowia 11 bm. Grocholski urodził się w Rożyskach na Podolu roku 1815. — Dr. Kaźmirz Hałaciński zmarł w 25 roku życia przed kilku dniami w Krakowie. Była to wydatna i sympatyczna postać w kole tamtejszej młodzieży. Charakter nader prawy, sąd zdrowy, energja i spora ilość dobrej woli były znamieniem nieboszczyka. Tyfus brzuszny w kilka dni położył kres wszelkim nadziejom — W Greis w Tyrolu umarł w piątek nagle Leopold Neumann, pochodzący z Galicji, członek Izby panów, znakomity profesor międzynarodowego prawa na uniwersytecie w Wiedniu.

Rozwiązanie łamigłówki.

		P	a	d	y	s	z	a	c	H			
		A	c	h	a	j	o	w	i	E			
W	a	l	l	e	n	s	t	e	i	N			
				E	i	d	e	R					
			Ł	o	t	w	a	c	Y				
				L	i	p	s	K					
	A	m	s	t	e	r	d	a	M				
	C	a	r	a	c	a	l	l	A				
				R	o	g	e	R					
				O	r	e	s	T					
			I	s	o	l	a	n	I				
			X	e	n	o	f	o	N				

Paweł Lacroix — Henryk Martin.

Rozwiązanie nadesłali: Pp. Jan Krzysztofowicz z Jarosławia, Wanda Kopacz ze Stanisława.

Nagrodę otrzymał Jan Krzysztofowicz z Jarosławia.

Spóźnione rozwiązani z Nr. 34 nadesłali: Stefania Okuniewska z Czerniowiec, Kółko rolnicze z Buczacza.

Korespondencje od Redakcji.

Pani Stanisława M. w R. Z uprzejmych a praktycznych rad Pani skorzystamy w przyszłości.

P. Roman Tor. w Krakowie W pierwszym numerze „Tygodnia."

P. Zofia Lar. w Bud. Dziękujemy za słowa zachęty. Co do żądanej książki, poleciliśmy wydanie jej księgarni.

P. Eug. M. we Lwowie. Mylisz się pan. „Lithuania" Grottgera jest dotychczas własnością krakow. Towarz. sztuk pięknych i prawdopodobnie zawsze nią zostanie, przynajmniej powinna.

P. St. G. Kaz. w Krakowie. Potrzeba popracować nieco nad ścisłością myśli, a dobrze nad podaniem formy. Pierwsze próby stosunkowo wrale dobrze.

P. Adam Cz. w Kr. „Tydzień" pojawi się około 20 bm.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki.

Z drukarni nar. W. Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.